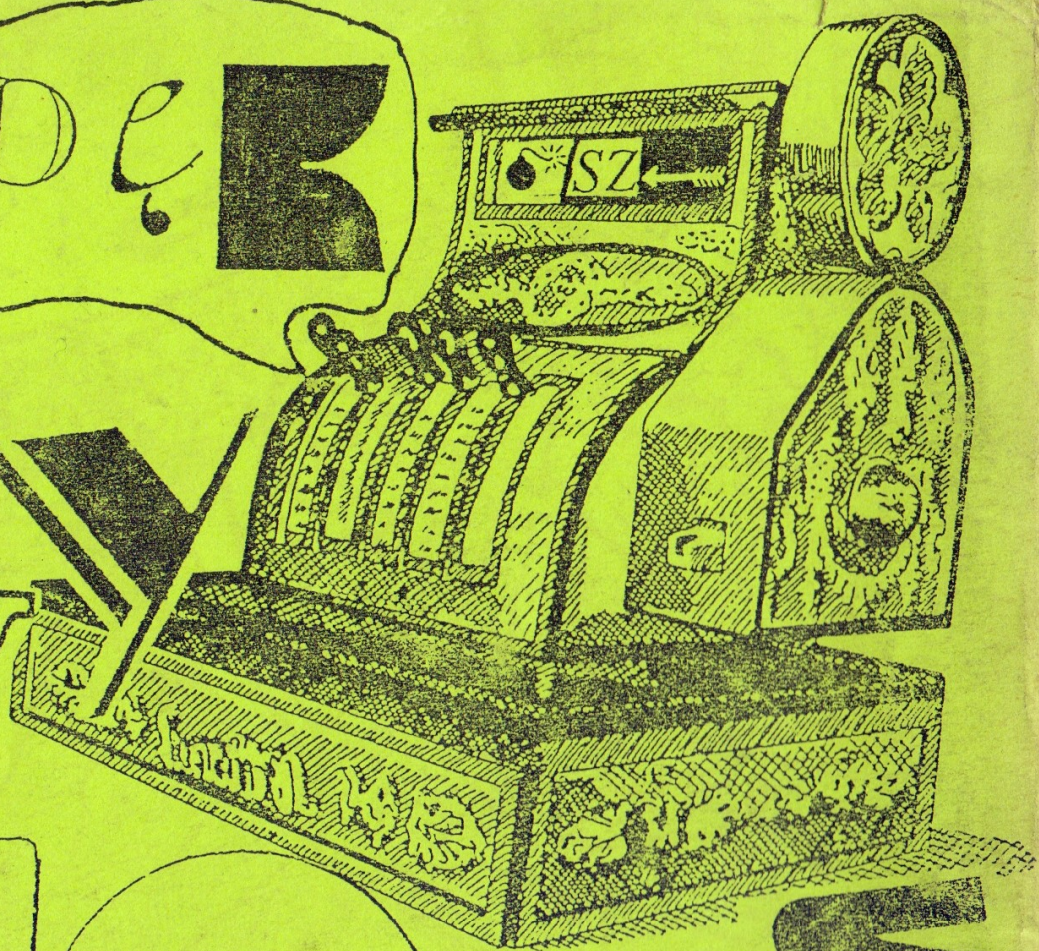


Szelest



BrzDęR



tw

twO

AWA



Ja tam bylam, jadlam, pilam, po brodzie kapalo, w gardle nic nie pozostalo. Bylam ustrojona w suknie papierowa, w trzewiki szklane, stroik maslany na glowie; niezgrabiasz wziął mnie do tańca, stłukł mi trzewik; go-rąco mi było, stroik na głowie się stopił, suknia się zdarła i samam zachorowała. Wyrzucili mnie na gnój, w armatę nabili, jak wystrzelili, tak siadłam tu, i siedze.

K R E C E nie

- Och, to nic takiego. Ludzie rzucają pracę z bardziej dupe relnych powodów. Ja już po prostu nie mogłem wytrzymać. Nie chciało mi się denerwować. Nie płacili na tyle dobrze, żeby się trzymać tej tyrki.

- A o co poszło?

- O sranie. Wiesz jak to jest w takich hotelach robotniczych. Ileż można się gapić w telewizor? A jak się często pije, to siada trzusteczka. Czysci człowieka. A tam się kupowało po 2 albo 3 korbole na łeb. Nie codziennie, ale jak siorbnałeś 3 korbole, to miałaś cały wieczór z głowy. No, a rano czysci. I lepiej nie próbować trzymać, bo każde pierdnięcie może być z narzą, więc trzeba to załatwić z samego rana. No, możesz poleać.

Od kiedy Francuz wziął fabrykę, to ci z zarządu wszystkiego się czepiają. To już nie to co kiedyś. Wyciskają człowieka jak tylko mogą. No i przy szatni, a kibiel jest przy szatni, postawi-li takiego dupka. Ludzie różnie o nim mówią - kapo albo kiblowy. Ten młody, Jurek, to mówił o nim kapitalistyczny sługus. Siedzi ten dupek i wkurwia człowieka. Idziesz się wysrać, a ten spisuje twój numer załogowy i notuje, ile czasu srałeś. Idziesz sobie zrobić herbatę, a ten pisze, ile ci to czasu zajęło. A na koniec miesiąca podliczają cały ten czas, który przeznaczasz na takie rzeczy. Masz dobry układ, rzadko chodzisz do kibla, to nic się nie dzieje, ale jak jesteś podpadnięty to nie dostajesz dodatku motywacyjnego, jeżeli wychodzi, że dużo czasu tracisz na sranie i inne takie, albo nawet odliczają ci to od pensji.

- To teraz na środkową nóżkę.

- No to siur! Więc dzień wcześniej była ładna pogoda, to po-szliśmy sobie na ławeczkę. Kupiliśmy chyba z 10 win na 4 twa-rze, tak w sam raz żeby się nie sponiewierać, a rano żeby nas kac nie pozabijał. Na drugi dzień, zaraz jak przyszedłem do pra-cy, poczułem, że będzie źle. Rewolucja na całego. I jeszcze by-łem taki głupi, że jak wychodziłem z szatni, a ten kiblowy już siedział przy swoim stoliku, to pusiłem taka pulę koło niego, że go o mało nie zwaliło z krzesła. To trzeba tym mózgojebom przyznać, że sraka i pierdy po nich smierdzą tak, że o rany! Za palił papierosa, żeby trochę zabić ten smród, ale miał już na mnie oko. Czuję, że jakbym wyszedł do kibla, to by mi dopisał z pół godziny. I jak mi zaczęło w brzuchu buzować, to od razu pożałowałem swojej odwagi. Zachciało mi się pokazać, co to nie ja...

- Jeszcze po bączku?

- Chwilke, nie tak szybko. Czuję, że przerwę nie wytrzymam ale szkoda mi było tej pół godziny. Na inny wydział nie pójdę, bo tam też tacy przy kiblach siedzą, a i ten jakby zobaczył, że mnie nie ma, to od razu truknęłoby najstrowi, więc tak czy tak by mnie zapisał. Myślałem o tym, czy by nie poprosić kogos, że-by zostawił otwarte okno w kiblu, a ja bym wszedł sobie tamtędy ale potem sobie przypomniałem, że okna kibla widać z okien kie-rownika, więc dałem sobie spokój. No i dupa, byłem załatwiony. Można siorbnać. Ciach!

Nie wiedziałem, co zrobić, a w środku wszystko mi skacze, w górę, w dół, rewolucja na całego. Walę pulę za pulą, ale to nic nie pomaga, tylko w powietrzu dookoła mnie coraz gęściej od smrodu. Jak już nie mogłem wytrzymać, to poprosiłem tego młodego, Jurka, żeby ciecia czymś zajął. Z oporami, ale się zgodził.

MURZYŃA

Kibel i szatnia są na korytarzu, wchodzi się tam przez drzwi z boku hali. Dobrze się tam temu gnojowi siedzi - widzi prawie całą halę, ale nie ma tam takiego hałasu, no i jest czysto. Młody też był wczorajszy, więc poszedł do szatni herbatę sobie zrobić. Jemu tak bardzo nie zależy na tych godzinach, nie podpada tak często, a ja obiecałem mu browar po pracy. No więc poszedł i tak zagadywał ciecia, że ten weszedł za nim na chwilę do szatni. No to ja wtedy myk! i już byłem w kiblu. Krótka to trwało, ale poczułem się od razu tak ze trzy kilo lżejszy. Wciągnąłem gacie i dopiero wtedy się zastanowiłem. Już ze spokojną, wolną od kłopotu głową, pomyślałem sobie: jak ja teraz wyjdę? Słucham pod drzwiami, co się dzieje na korytarzu, a tam cisza. Nie słyszę rozmowy, więc pewnie ten kapo już wyszedł z szatni. Gdybym teraz wyszedł, to i tak by mnie zobaczył i na pewno odpisał nie wiadomo ile czasu. Aż się cały spociłem. Czasem jednak w nerwach to mi przychodzi jakiś zajebisty pomysł do głowy. Wziąłem po prostu mydło z umywalki, otworzyłem okno, wychyliłem się i rzuciłem nim w okno szatni. Są obok siebie. Młody potem opowiadał, że wystraszył się tak, aż rozsypał cukier na podłodze. Kiblowy wpadł do szatni zobaczyć co się wyprawia, popatrzył na młodego, ten sam był w szoku, nie wiedział co się dzieje. A ja wtedy, zaraz po tym jak rzuciłem tym mydłem - tak, żeby nie wybić szyby, ale na tyle mocno, żeby było słychać - no to ja od razu myk na korytarz i szybko na halę. Nie złapał mnie. Nic mi nie dopisał, ale co się nerwów najadłem! Potem się pytał ludzi na boku, czy nic nie wiedzą. Ale że kutas z niego jest, nie idzie nikomu na rękę, podpierdała majstrowi, to nikt mu nie powiedział. No i powiedziałem sobie, że dość. Żeby się człowiek musiał upokarzać tylko dla ukręcenia murzyna! Wziąłem pensję i się zwolniłem. Co się miałem szarpac, no nie?

- Pewnie. Polać?

- Tak. A właściwie, to czemu się o to pytałeś, o tą pracę?

- Aaa, nie mówiłem? Jestem dziennikarzem "Słowa Exbudu" i piszę reportaż o tym zakładzie. No wiesz, co się zmienia po sprywatyzowaniu i takie tam. I chyba będę chciał wykorzystać, oczywiście bez nazwisk i nie tak szczegółowo twoją historię. Nie masz nic przeciw?

- No nie wiem... A dostanę procent od wierszówki?

- Właśnie go przepijasz.

- O ty cwelu pierdolony!!!

- To się nagrywa. O, tu mam dyktafon.

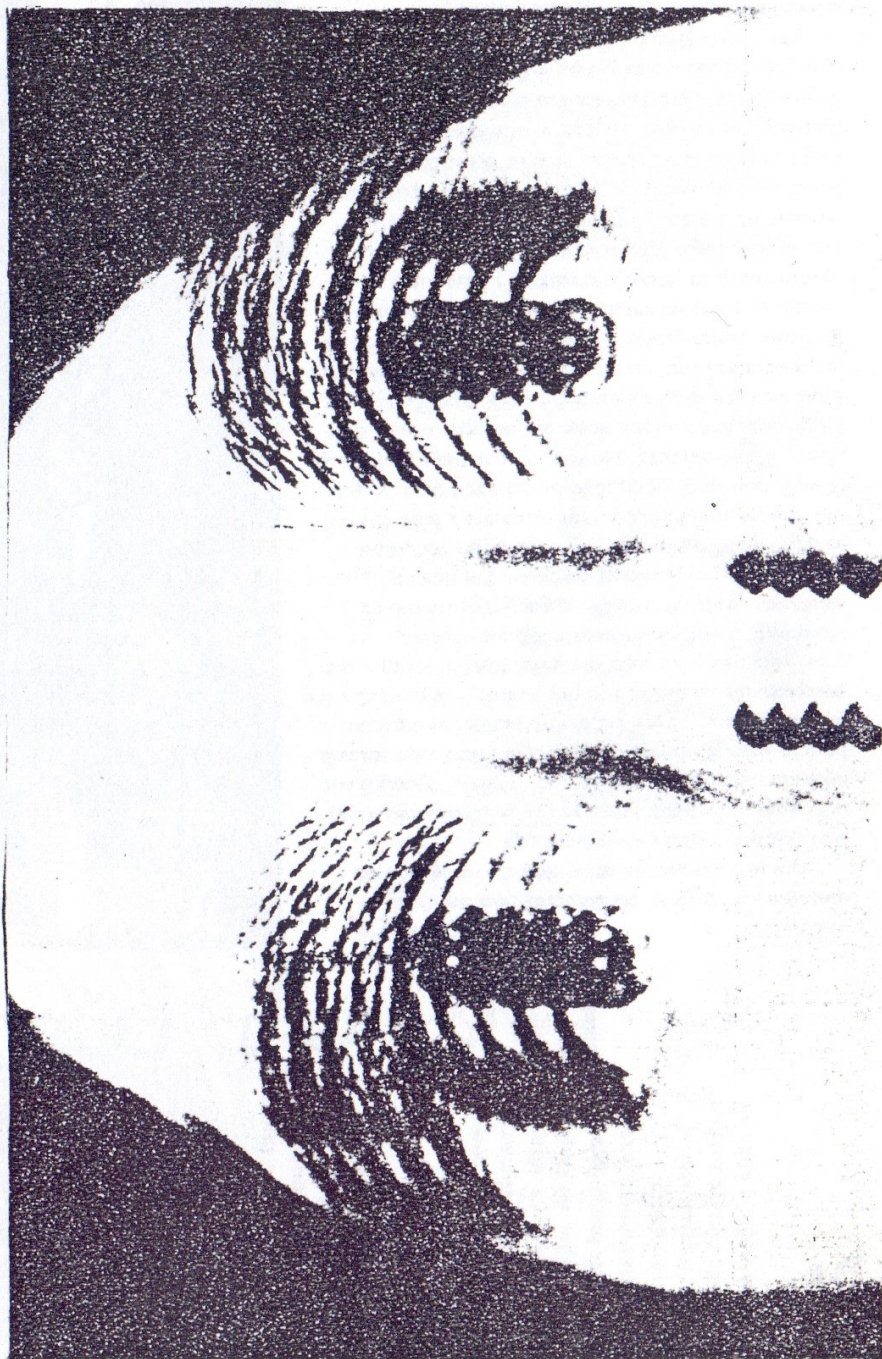
- Ty!

BĘDĘ ROBIĆ NA AKORD



a zalem
o tym nic
nie tam
ze
i.
o
a
z
w
na to
nie ma
rady

- A więc nic ?
- Nic... ? To już coś !
- Lecz nie to...
- Nie trać nadziei. Lepszy niż na dachu.
- Nadzieja matką...
- Fajnie mieć matkę.
- W jej oczach to i owo... Masz rację.
- Może mi zaufasz ? Byłoby przyjemniej.
- Zastanowię się nad tym.
- Nie zapomnij.
- Oczywiście. obiecuję ci to.
- Czcak! I
- Cacy-cacy...
- Pogłaszcz mnie po głowie.
- Masz przetłuszczone włosy. Nie umyłeś nawet twarzy. Twój oddech jest nieświeży.
- Tyś jest piękny w porównaniu ze mną.
- Ja ?
- Ty.
- Nie wierzę.
- Ja też nie wierzę.
- Widzisz ? Mamy jakieś cechy wspólne.
- Zapomnij o nich.
- Jak byłem...
- Ja też byłem.
- Nie przypominam sobie.
- To oczywiście, miałeś zapomnieć.
- Ale gdy miałam takie...
- Ja też miałam !
- I te igraszki... Pomyśleć... już jutro znowu przyjdą.
- Poubiłam te chwile. Właśnie te i żadne inne.
- I nigdy inne !
- I zawsze takie !
- To tyle... Grabula i Auf Wiedersehen !
- Nie rozmawiałem z nim od dawna... To dobrze, bo w końcu co on sobie myśli ! Że niby co ? Że niby ja ?! Niedoczekanie !



m n a s i e
z t y m
z e
i t y l k o
w i e c
w i e c
t y l k o

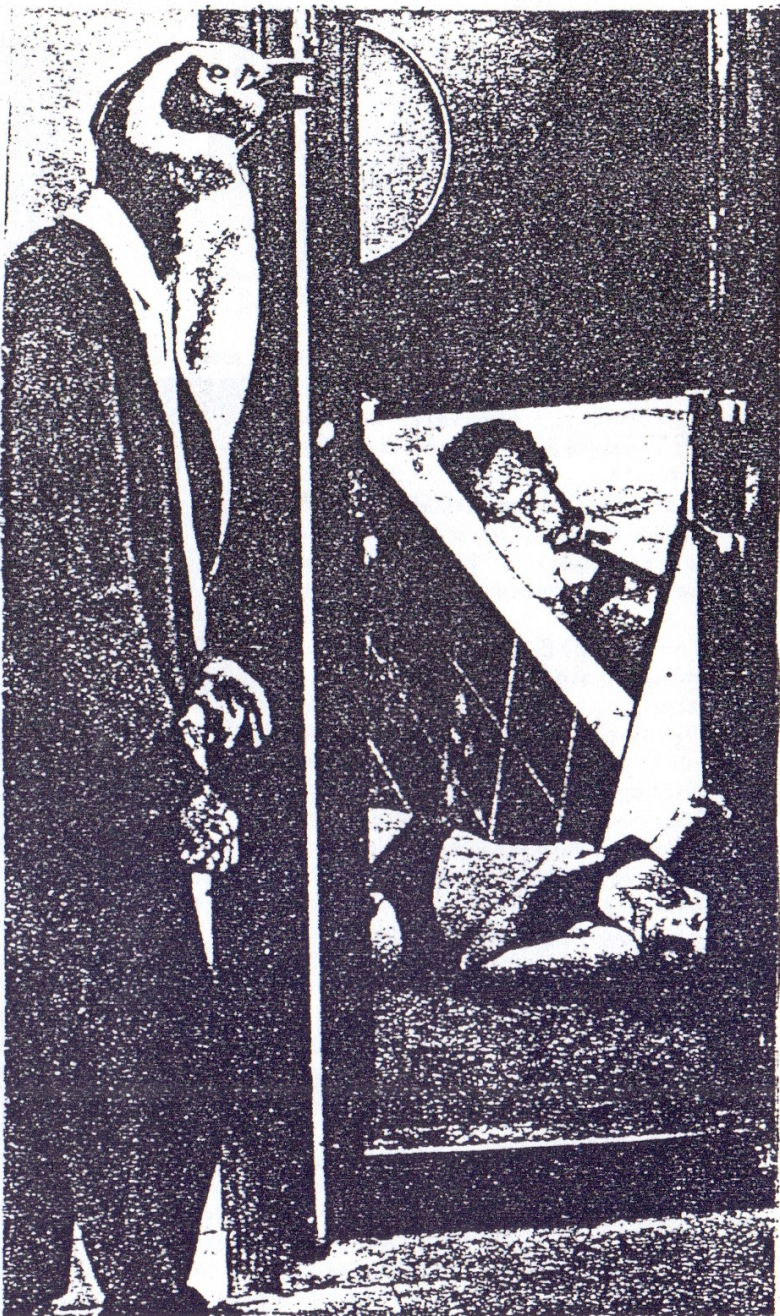
T U T A J
N I C N I E
T A K C O S
A O N
T E Ż
I J A

Radost

Od tygodni budzi mnie dudnienie w suficie, rozbija sen, gdy tylko zamknę oczy, nie słyszy go nikt więcej i powtarzają mi, że przecież sąsiedów u góry mamy bardzo spokojnych, dwoje starszków, małżeństwo usychające w betonowym wazonie z którego wylano eliksir młodości, znoszą to z godnością i nie robią wcale halasu, lecz ja słyszę z ich strony dudnienie, gdy tylko się zdrzemnę.

Raz powiedziałem - „wejdźcie!”, i otworzył się sufit jak czarne wrota Nieba wypływając z siebie łożo dwuosobowe z białymi górami staromodnych pierzyn, podszedłem i widzę, że leżą w nim dwa siwe ciała po akcie miłosnym ze starszą siostrą nocy, gardła przegryzione wilczyimi zębami, ale ja wiedziałem, że stworzenie stojące za oknem wilkiem nie jest przyjmując tylko jego postać, gdy ludzie się boją, rozzerwana była koszula starszki i przedmiot metalowy leżał na zapadniętym w zmarszczkach brzuchu, zmiądzono jej sutki obcęgami, nie będzie już mogła karmić, matka ducha mego uświadomiłem sobie patrząc w jej zmarnżnięte oczy, dlatego jestem głodny, a ojciec leżący obok nie poradzi więcej co robić i gdzie uciekać, bo usta mu zapchali urzniętymi genitaliami, nie chciał tego przelknąć i oczy wyszły mu z orbit, biała kość krtani sterczała z jego gardła rozzerwanego jak maska samochodu po zderzeniu z drzewem, skóra krwią skrzepnięta jak blacha stercząca, więc wyrwałem tę kostkę ostrożnie na pamiątkę, a oni spowrotem wjechali na górę zamykając sufit za sobą dyndającą nogą, spadł z niej bambosz mi na głowę i to był koniec, zaś bambosz ten mi świadkiem, że tak się działo, na dzień następny policja weszła do tego mieszkania i ucziszono sprawę jako zbyt szkodliwą społecznie, tylko w „Detektywie” napisano słów parę, które każdy porządny obywatel potraktował z przymrużeniem oka.

Moi krewni mrużą oczy, gdy się im skarżę na dudnienie w suficie, bo przecież tam nikt nie mieszka.



h O n o r O w y

d ł u g

Skulony w sobie, jakby uschnięty, złożył nogę na nogę, dłoń wcisnął między uda, drugą grzebie w uchu przyglądając się temu, co wyciągnął (czarna maź kurzu zmieszane z lojem, pachnąca wczoraj używanym szamponem), siedzi na drewnianej skrzyni po jabłkach, w piwnicy wiezowca (trzy piętra wyżej mieszka jego matka), pod szarym sufitem, na grubym, fallicznym kablu sterowy osłepiająca żarówka, mruży oczy gdy podnosi głowę, nie chce ze mną rozmawiać, co chwilę zagłusza mnie loskot lecących ze zsyków śmieci, bulgot ścieków w ścianach.

- ...umarłem przed telewizorem, - kończę zwierzenia i kładę mu na kolanach kartkę z numerami najbliższego totolotka, jest moja kopia, którą rodzice kupili po tym, jak nie wróciłem z wakacji. Chciałem uciec od przeznaczonego mi życia.

- Pamiętaj, - powtarzam - Nie miej do siebie żalu. To ja cię skazałem na mieszczańską nudę, ktoś musiał wejść na opuszczone przeze mnie miejsce. Nie byles przygotowany do walki, - zacząłem upychać swą egzoplazmę do rury ściekowej - A telewizory i tak są wszędzie, nawet w Iranie - i mnie wessalo. Może wygrana pozwoli mu otrząsnąć się i zaszaleć, a może zgnije mu pod poduszką, to już jego sprawa. Ze spokojnym sumieniem wróciłem do Piekla.

na marginesie:

Tam się bawię wечно swobodny, wielkie jest Piekło, wszechwiata podszewka, zostawiłem na powierzchni worek ciała przyszyty do innych niewidzialną nicią strachu i pożądania, prowadzą go za mordę choćby nie miał w głowie nie przestanie zrec i chodzić, jest tak samo mechanicznie martwy jak w pierwszych dniach stworzenia zanim nie udzielił mu się boski obłęd w mojej postaci, non servum, zbyt wielki, by na dłużej pomieścić się mięsie.

Czujesz, jak wypływa z ciebie? Tak koło dwudziestki?

Blogosławieni ci, co nie dla lekkiego mięsa, które w swej zapobiegliwości zaplesnieje i zgnieje, lecz dla Ducha chodzą po Ziemi, ci nigdy nie zostaną opuszczeni.



Kropia płomienia mąci moją myśl. Głowa chciałaby potoczyć się... jest wielka, puchnie.

Zaru nie trzyma się w chlewie. Ogień płynie leniwą gwałtownością.

Przyobleka mnie zmęczenie, kurz i popiół; purpura - krew. Śmiertelny stygmat. Panie, jestem głuchy - zasypiam w sercu dzwonu. Otulony płomieniem zasypiam. Ogień podsycam sobą.

Światłość ma czarne tunele, korytarze cierpnej ekstazy. Pleśń. Obawa.

Pogrzebać ruiny wyobrażeń. Magiczne ogrody mają smak cementarza. Duszne sypialnie dają ukojenie mogiły.

Promienie słońca. Gromadzone zachłannie w dziecka nadziei, że starczą na całą noc. Wieczność. Ale to tylko moja myśl ślepa, przeczuwana, Zobaczona.

- wreszcie

- czy to ona?

czy halucynacja niepewności, tonąca na środku jeziora, zgłatana falą przyływu? Uskrzydłone głowy aniołków, pozłacane kwiaty, postacie świętych tańczące w podmuchu. Wargi całują ostrze. Godziny samotności, godziny rozpacz, a później kryształowe drzewa, kwiaty wyszczazane szlachetnymi kamieniami, jeziora srebra, pergamin starych ksiąg - pożerany tańczącym płomieniem, starożytne ruiny, zamki, świątynie. Matka Boża w niebieskiej poświacie, błyskawica milczenia. Dzikie modlitwy miotane w gorączce. Wizja szczęścia nie do zniesienia. Sen o pociebnym locie, w migotliwych gwiazdach. Miasto trawione w ogniu - tak jak serce. Gwiazdy jak odpryski po rozbitym lustrze. To stało się na początku. Koniec w potopie krwi odkupienia. Straszliwe miłosierdzie zaleje wszystko odnowione i piękne, wszystko nowe będzie - płonąć czystością. Zglądłem niepewnie w ciemność łona skąd buchną płomienie. To totalny pocałunek, który nie jest niczym innym. Otwieram oczy, wznoszę się i upadam. Trawi mnie sól, kwas, wrzący metal, ognista woda, słowo, ale nic nie ugasi huraganu pod spodem. Któż inny i gdzie przynuli kamień. Szczura zarazy weźmie w ręce.

Kolory burzą się. Eksplozja zmiata nawet ciemność - to jest dopiero podmuch. Preludium. A to co przyjdzie, co stanie się, tak delikatne i gwałtowne, tak nieodwracalne. Jak śmierć, ale to Miłość. Żąbło poatrzymuje potęgę wszelkie zio szlifuje ostrze dobra - blysk. Naachodzi Duch... jest tu!

Niesiony, zatopiony w nocy, gęsta pustka, spustoszenie, jatowość. Wystygłe napoje gorzkie i raniące. Nieme przywidzenia - majaczenia. Głosy na krawędzi snu. Kobiety przychodzą, a później rozpywiają się. Zniszczone matki modlą się do utraty tchu. Brzemienne siłą odchoazę. Siabość jest mieczem obosiecznym - głównia zatopiona w truciznie.

Grzyb nakrywa się fioletem kapeluszem. Lśni, ale nie słucham go.

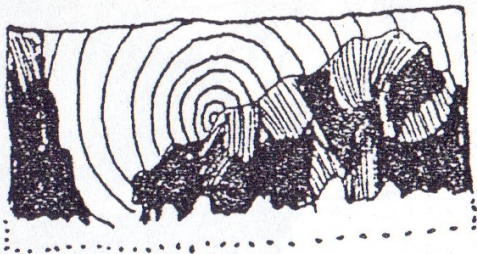
Łąka porośnięta mchem i trawą - skatą dymem i mgłą.

W ustach mały smak. Jej ślina jak najmocniejszy wywar, pali moje wnętrzości i mózg i krocze - bucha kłębowiskiem płomieni. Motywem zrodni. Obłąkany rytm chaosu, wynosi mnie na samo dno. Ciało wygina się, smagane pełznącym dreszczem - zlizuje krew. Piję z niej chciwymi chaustami, poz-bawiony rozsądku. Wybucham gazieś pod kopułą nieba. Umieram w ciemnej szczelinie, piwnicy. Jestem bardzo mały. Zwiedzam kępy traw. Nie widzę co jest za nimi. Słyszę tętno świata - przykładam ucho do ziemi, wyciągam ręce ku niebu. Szepcze nie znając kierunku. Pogrzążam się w zaułkach głodnych ulic, w przepastnych oczach kobiet, w cieniach bram, pociągach, lasach bez dna. Przedzieram się przez krzaki jeżyn, paprocie, dzikie rubinowe róże. Stawiam kroki między gniazdami żmij i wieżami mrowisk. Uczę się mowy. Ze zwiru wygrzebuje skamieniałe czasy. Mam swoje wyspy, na których odpływam; nieznanne antypody. Rozpadliny są moim domem. Tam mieszkam, dopóki się nie obudzę.

Kogut zadał mi pierwszy cios, nie będę liczył pazurów kotów i kobiet. Nie odwołuje się do psiej wierności - nie daje ognia. A ja mam wielkie potrzeby. Liczę świty i zawsze ich za mało. Gdy zmrużę oko, doglądam spustoszenia. Wiry światła ukradzione ze snu, kłęby chemii buchające w nos. Czerwone noce i biały wyczerpany sen. Kryształ gwałtowności, żrący blask za zasłoną nocy.

Ptasi świergot - pochwalny śpiew.

Wytrzeszczam oczy, by dojrzeć blask, usłyszeć nadsięgające płomienie.



SPALAM SMUGI NICOŚCI
W WONI BEZDŹWIĘKU
I ZNOWU JESTEM
CHRYSTUSEM
NIENAWIDZĄCYM SWOJEJ DŁONI
ZA

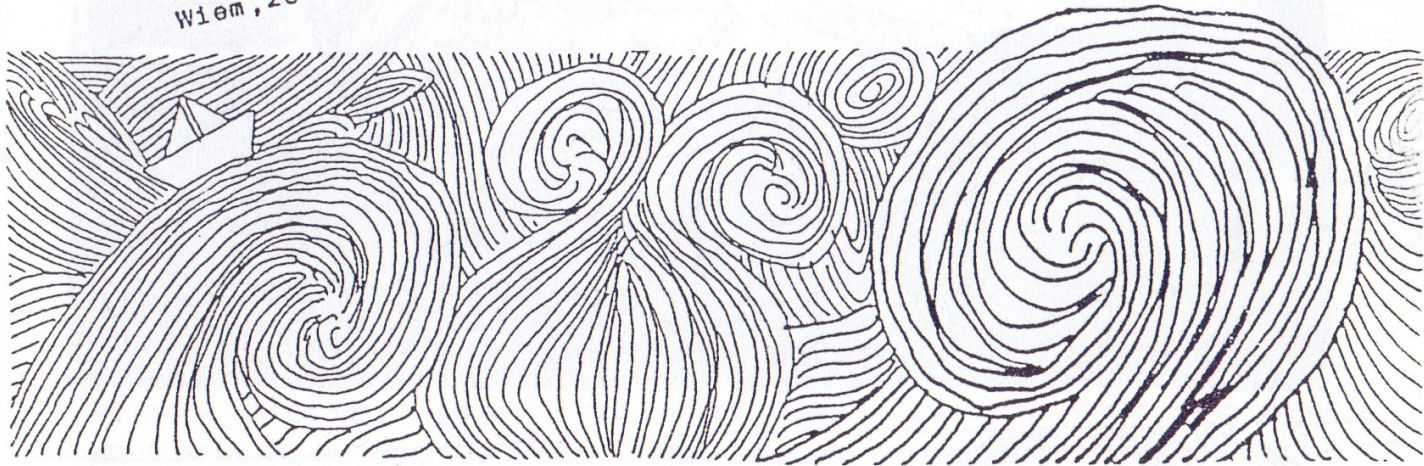
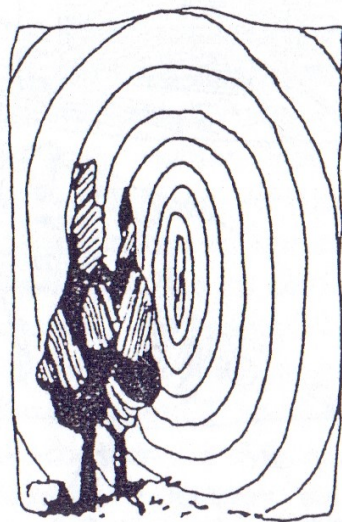
JEJ

O T W A R T O Ś Ć

A CO BY BYŁO GDYBY
GRZESZĄCYM NAGMINNIE
WYRASTAŁY WŁOSY NA JĘZYKU?
MYŚLĘ, ŻE NADAL PENETROWALIBY
OWŁOSIONYM, TERAZ, JĘZORKIEM NAJCIEMNIEJSZE MIEJSCA KOBIET.

X X X

W świecie sylabę jedynie jestem
Zawieszoną pomiędzy szarym niebem
A krajiną przepelnioną smutnym śpiewem
Czasem potrafię mówić niemym gestem
Do Aniołów zawieszonych na drzewach
Litery wypieję w wiatru powiewach
W przeetrzeniach układam z nimi rozmowę
Grymas rysuję kiedy zrozumieć nie mogę
Topię w sobie bezsilność bez umiaru
Wiem, że nie potrafię odczuć kwitnieniem
Nieza rozmowa nie będzie porozumieniem
Wiem, że nie uniosę tego ciężaru.



Napiszę krótkie Opowia - da? - nie!

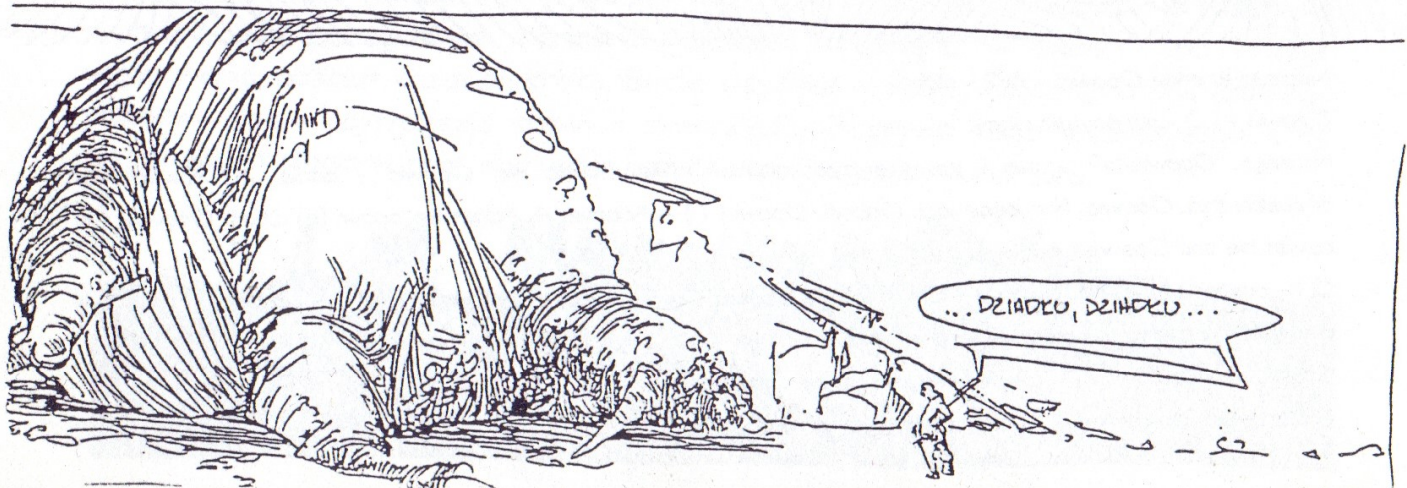
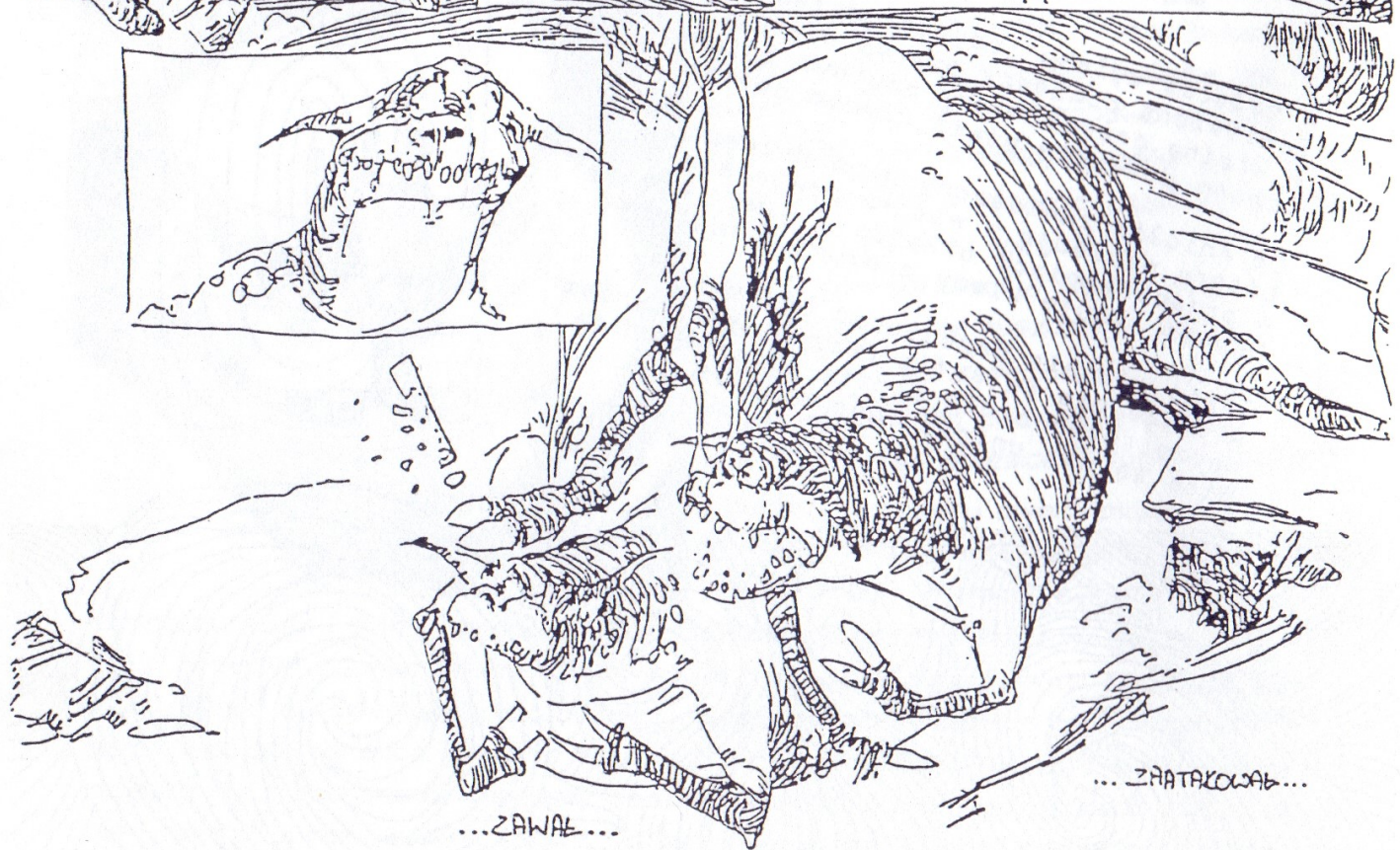
Opowia - (...) - nie dawala nigdy.

Niczego. Opowiada? - nie! I zawsze była mrukiem. Nie mówiła nic. Opowia - danie. Aż tak mi nie przeszkadza. Opowia. Nie będę jadł. Opowii. Opowi (i) - Adamie. A Adam nie opowi (e) dzieci. Opowii? On nawet nie zna Opowii.

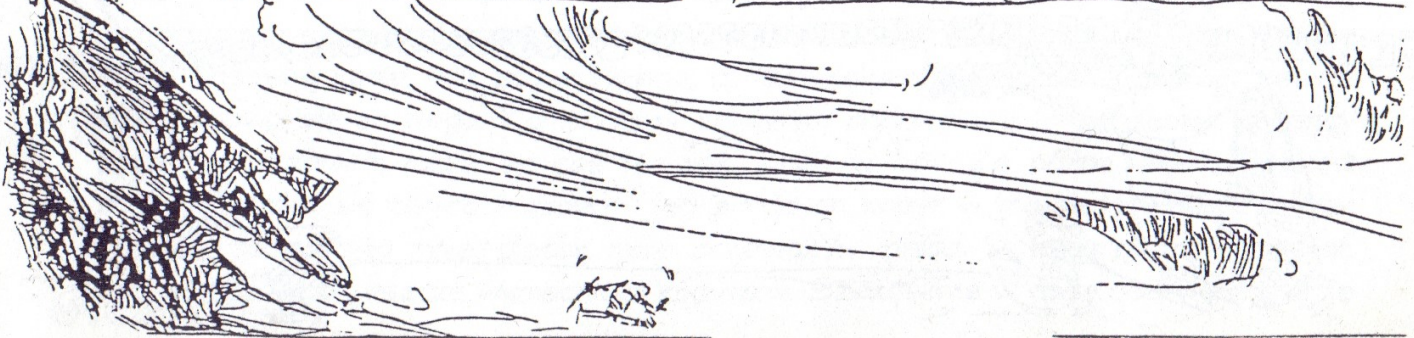
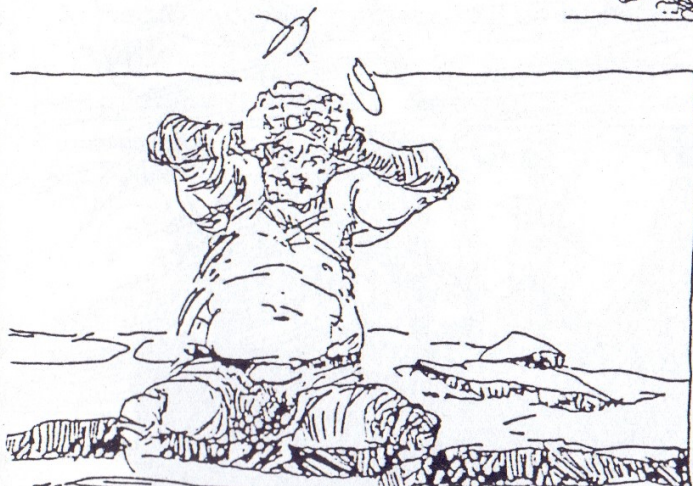
O! - powiada (mia) nie. Opowia - Da (mia) nie, spójrz. On nie widzi. Może nie widzi. Opowiada - (m) nie? Toż niegrammatyczne to, a i niestylistyczne to też.

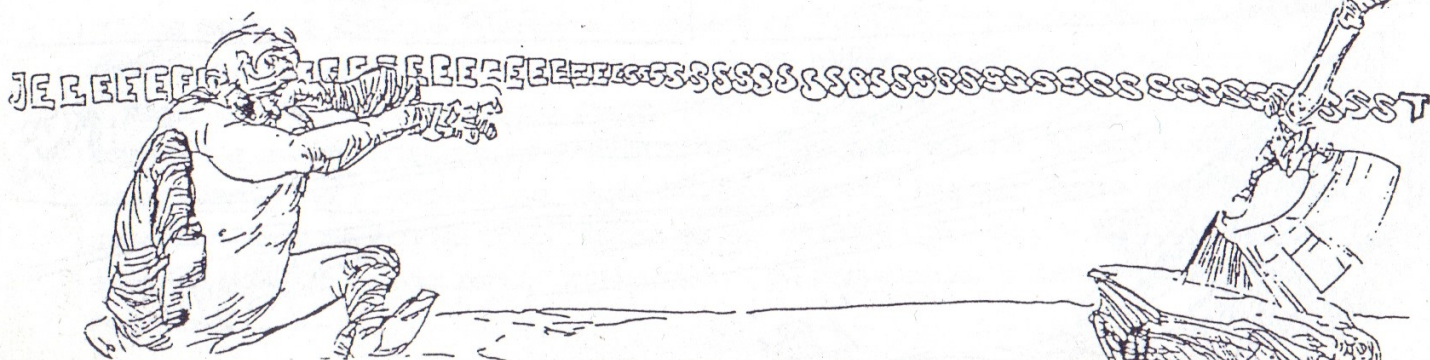
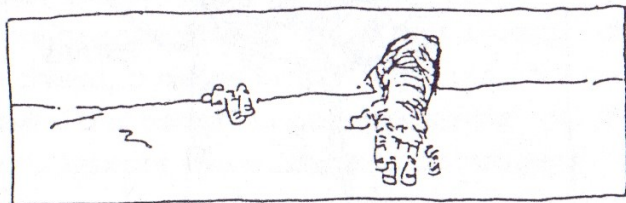
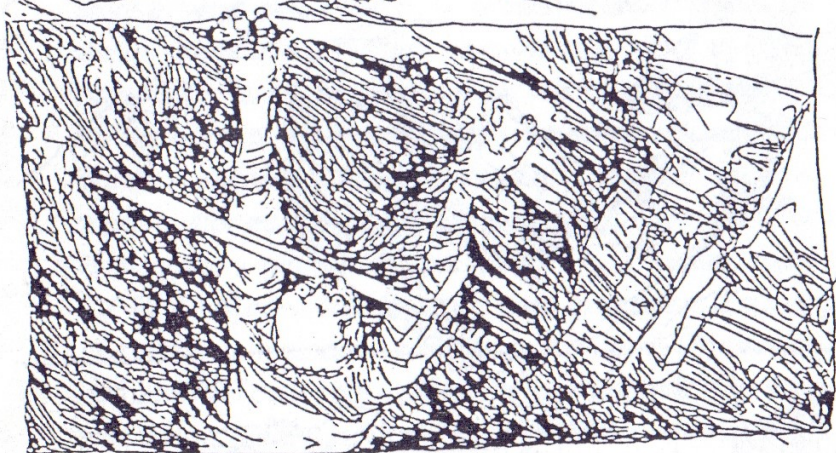
Chyba, że opowia - (o) - (m) nie. Ale cóż może o mnie ...?

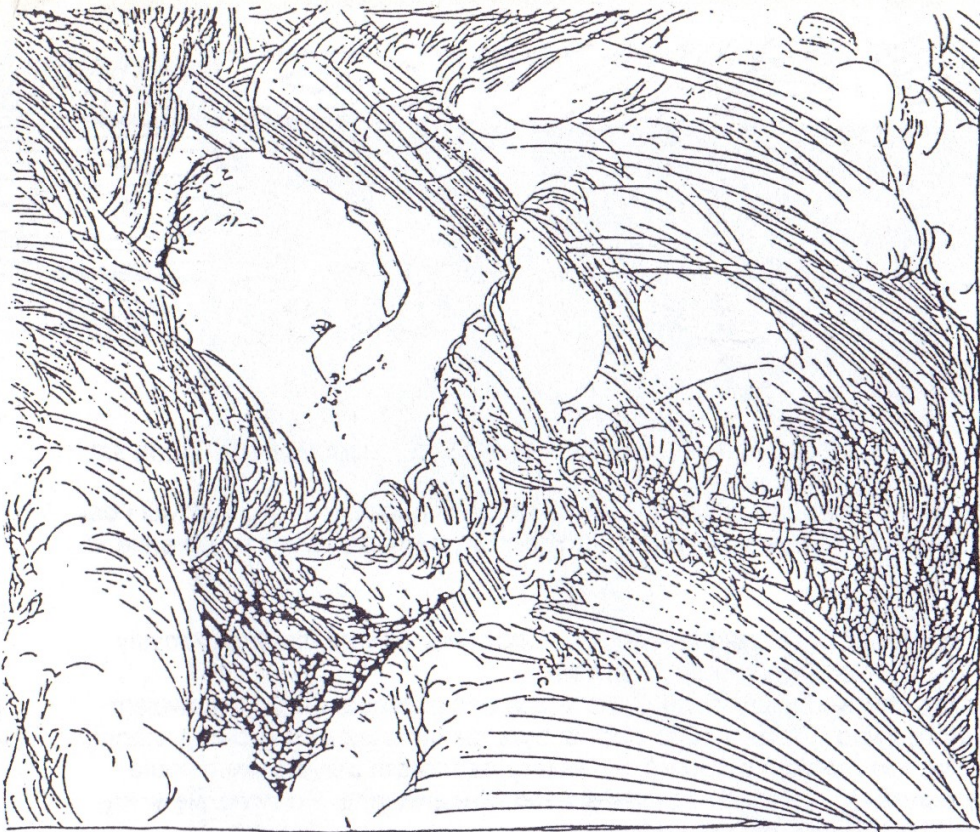
Napiszę jednak krótkie ... Chociaż mie się, kurwa, odechciało.



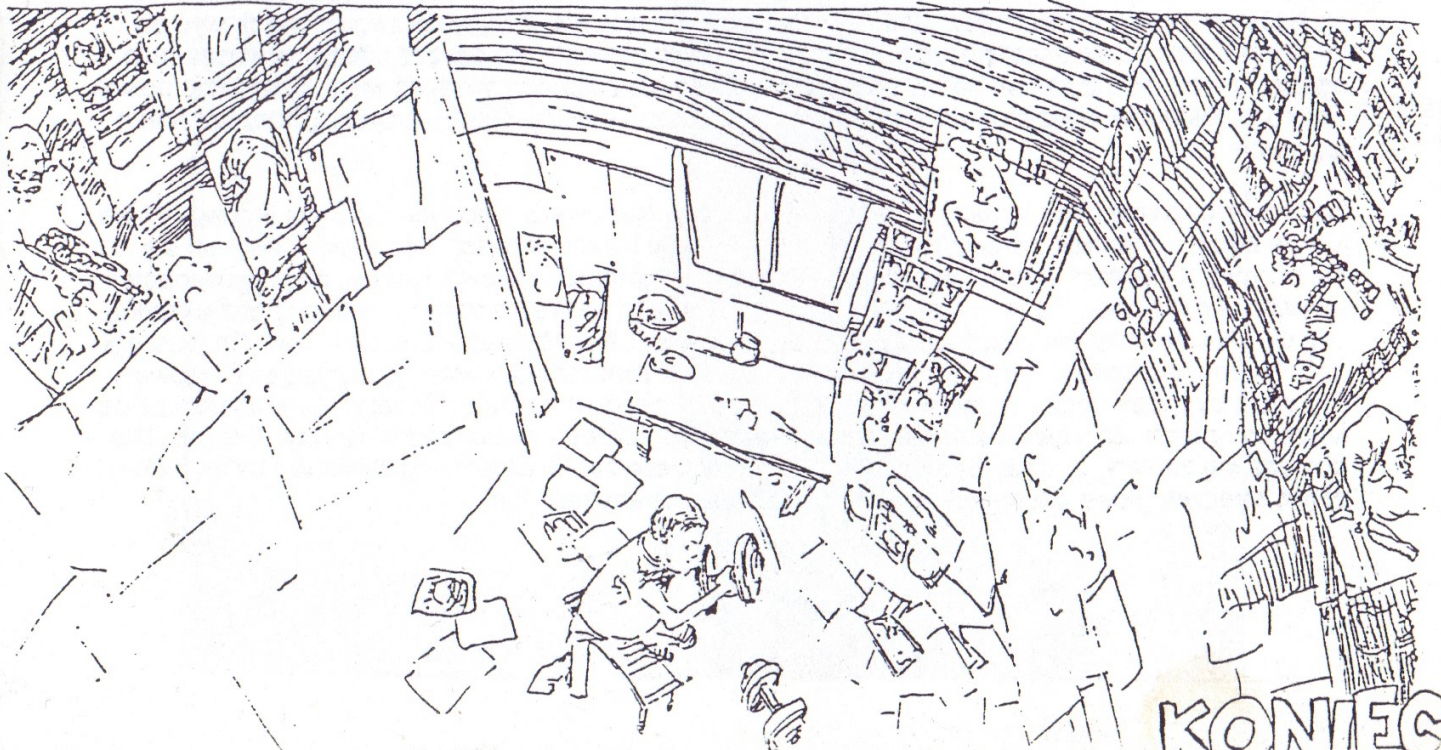
BŁ... TRU!







EPIC



KONIEG



Julia jest dziś w dziwnym nastroju. Nie chce rozmawiać. Rozciągnięta w półszpagacie przygląda się bezmyślnie swojej stopie...

Zrywa się nagle, gasi światło, siada przy biurku. Cisza. Zapala lampę dopiero po dłuższej chwili i bągrze coś na postrzępionych świstkach, które zawisają na moment w powietrzu zanim zmienia się w konfetti.

- Julio... Proszę powiedz coś... Julio?...

- Postanowiłam dziś pozwolić jej działać. - zaczęła znieczeka - Doprawdy dziwne ma ona pomysły. Umięknęła, a potem spojrzała w lustro z podziwem i kontynuowała.

- Pozwoliłam jej decydować przez chwilę o wszystkim. Olała lekcję angielskiego. Jazda tramwajem stała się sensem istnienia, istotą życia. Ochota na tę podróż była tak silna jak miód i równie stanowczo domagała się zaspokojenia. Nie mogłam odmówić... Niestety na trzecim przystanku osłabła i poddała się. Szkoda. Muszę pomyśleć. - wstała i zgasiła światło. Zapaliła inne. Położyła się w kącie. Zastygła kontemplując wzór na dywanie z perspektywy zabij

Wiesz Julio widziałam dziś słońca... Przez telefon... Rozmawiałam z nim. Był bardzo miły. Co? Nie, nie wiem jak wyglądał. Telefon jest zbyt mały żeby to sprawdzić. Niedobrze ze mną. Słoń miał kolor futra z norek. Wyzwałam go od morderców. Prawie się obraził. Ale jego trąba pozostawała nadal szczęśliwa. Myślę, że to dobrze. I wiesz co jeszcze? Rozwiązałam problem. Tak po prostu. Już kończy się czas, kiedy wpadłam na pomysł wrzeszcząc: UWAGA! SPADAMI! I tak nie wiem o co się mnie oskarża, ale milczę. Niech sobie nie myślą. Wypchnę dym na łękę i będę miała dziecko. Na zawsze. Z oczami tatusia. Jeszcze tylko rozpiąć skórę na płocie pod oknem i stanie się moim domem. L. - miasto moich narodzin i śmierci. Nie mogę zapomnieć kwiatów pod skórą i zapachu, który znam jak gaz - ból i ocalenie. Jestem niespełna. Jestem już tylko pół. Odchodzę od siebie daleko.

Ja Julia - zwierzę. Obsesja i paranoja. Chcę. I chcę teraz. Wokół płomienia taniec węza i wika. Gong. Dzwon. Sygnał. Spadła zastona pierwsza. Lot kropel... w dół. Kropie potu. Bębnow grzmot. Dalej, dalej... Taniec szamana. Tajemnica odkrywania. Eksperyment. Nieznane przestworza. Próby zapażzone w noc. Puls. Światelko. Raz, raz, flesz! Pytania bez odpowiedzi. Miłość i śmierć. Weź mnie jeśli chcesz. Jeśli potrafiisz. Jeśli się nie boisz. Bo jeśli nie, odejdę do swoich i będę wyc do księżycy przed polowaniem na ludzi. Chodźcie! Daleko na wiatr. Na deszcz oddaję, w wasze ręce oddaję, byście poznali smak nagiej stali. W nozdrza wasze zapach młodych wiśni. Smakujcie powoli. Spokojna jestem w księżycowym pyle. Ja - matka wasza i siostra. Okrag i trójkąt. Chodźcie! Niech się stanie...

Jestem teraz pełna bólu. Węszę. Próbuję uwarń śmierć. Nadchodzi z godnością. Będę wdową. Wiem już, że będę... a jednak... wciąż nie mogę przyjąć klęski twarzą w twarz. Bez walki. Chwytam się... nie brzytwy. Chwytam koronę cierniową... Dłonie w stygmatach krwawią i konają postarzałe nagle i sztywne. To nie tak... To za wiele... Nie zniosę... Jak ja to wszystko obejmę i wchłonę bez okrzyku, bez łzy? Nic ze mnie nie zostanie. Tylko czerń sukienki. Lady Makbet w purpurze krwi. On musi zginać! Nie mogę pozwolić mu żyć... Modliszka mówi: "Wybaczam Ci kochany odgryzając Ci głowę. Tak musi być. Tak będzie lepiej. Proszę zrozum i nie miej do mnie żalu. Oddałam Ci wszystko aż po korzenie i proch. Zabrałeś korzenie i proch. Resztę odrzuciłeś - niepotrzebne szmaty. A teraz. ONA domaga się zapłaty. Zegnaj! Będę płakać po Tobie szczerze... Każdemu opowiem jaki byłeś piękny zanim stracisz głowę dla tej suki wolności. Zegnaj kochany mój! Pa!"

Mam zepsuty zegarek. Ja - niewolnik czasu z igrzyskami do ziemi, popędzana bez przerwy przez biegające minuty, ganiająca z miejsca na miejsce, padająca na tak zwany ryj, by za chwilę wstać (co ja mówię? zerwać się na równe nogi) i popędzić gdzieś w bliżej niesprecyzowanym kierunku jestem wolna! Zepsuty zegarek jest ukojeniem skołowanych nerwów. Uspokaja. Daje poczucie niezależności. Można przeżyć kawał życia spontanicznie i po swojemu. Właśnie po raz kolejny wskazówki czasomierza zatrzymały się w dowolnie wybranym momencie. I nie jest to kwestia sprężyny. Taki mały kaprys i już. Nieświadoma upływu czasu idę spokojnie przed siebie. Godzina 13:30 rozciągnięta w nieskończoność stwarza tyle możliwości, działań niekonwencjonalnych, niezaplanowanych, swobodnych wibracji, materializacji własnych pomysłów, na które w normalnych warunkach nie starcza czasu. Odkładane w nieskończoność wiedza, rozjaśnia się, traci formę i kształt, moc uzdrawiania, czyli tzw. pałec. Z kolei bez zegarka jest jakoś lżej. W końcu ten czas gdzieś tam będzie obok nas. Bez zegarka wpadam sobie czasem w panikę. Która godzina? Która? Oczka rozbiegane nerwowo, bo przecież wykład, spotkanie z dziewczyną i wszystko ściśle ustalone. A tu nagle bolesny brak czasomierza. Upóźnienie w dobie postępu. Za to z zegarkiem jest zupełnie inaczej. Mam "godzinę" przy sobie. A że nieaktualna? Kto by się tym martwił? Spóźnienie też nie jest takie bolesne - gubi gdzieś po drodze swój fragizm katastrofy. Zresztą zawsze mogę zrzucić całą winę na nieszczęsny przyrząd. Hej! Spokojnie Juliol! Powoli. Dokąd tak pedzisz? Zaczekaj. Mamy czas. Przecież i tak to co ma się zdarzyć zdarzy się na pewno. Usiądź jeszcze na chwilę. Porozmawiajmy.



to - Miejsce monice

Gdzie pójdziemy by nas wiatr nie mógł ogonić
by ptaki zadziwione naszym kształtem nie cichły
i woda przejęta spadkiem gruntu
w górę się pęła łowiąc ryby na haki mielizn
I deszcz i śnieg i cała meteosfera
gdzie pójdziemy zacznie dżwija jakies wyprawiac
I Ziemia ciężko dysząca, [redacted]
pełna życia, mruga do nas okiem
Czy czujesz zapach ciepłego asfaltu?
Nie, ja też nie czuję [redacted]
nie ma asfaltu gdzie jesteśmy bez drogi
Pójdziemy tam na bosą [redacted]
lewitując momentami, a nawet częściej
tylko po to, by móc dotrzeć dalej
do końca i do początku
Gdzie Każdy pozdrawia Każdego
jak To drzewo Ten kamień [redacted]
i dalej obok niego płynący Ten strumień
Tak, to nie bajka, jesteśmy tu przez chwile
Mija chwila mijamy to miejsce
i nowe odkrywamy [redacted]
Jeszcze piękniejsze i lepsze
Idziesz dalej? -pytam:

g o n i a w e

Ślad odnurożonych stóp
stymulacja snu [redacted]
podzący bez tchu [redacted]
ku nowym drogom ich dróg
Przebrany za psa [redacted]
przy saniach przed sznurkiem gna
i pod jak wiatr wciąż pcha
i pcha [redacted]
i nie wiesz sam [redacted]
że każdy jak ty za psa
tak gna i gna [redacted]
i mija dzień i noc [redacted]
aż pies nie przypomina psa
tylko gna przed śladem stóp
czerwony na śniegu ślad

krasnale

Raz, gdy już zasnąc miałem, podnoszę głowę i
widzę [redacted]
Stoi dwóch, jeden większy o połowę
[redacted] drugi o połowę mniejszy, stoja
Pomyślałem, że może poprosić by usiedli, w
momencie [redacted]
[redacted] gdy usiąść zamierzali, usiedli
I co dziwne - na mojej brodzie, leżałem
Nogi puścili swobodnie i siedzą, ja nic nie mówię
Boję ruszyć brodą, by nie spadli, oni też milczą
Pauza mi w oczy, wtedy myślą rzekłem,
[redacted] by nie krepowali się mej osoby i wyjawili o
co im chodzi [redacted]
[redacted] by wyrzucili z siebie to co im szkodzi,
wyrzucili [redacted]
do dziś nie mogę tego oprzeć, a tak
niepozornie wyglądali
dałem się niczle nabrać

C z h o w i k

Wielkie odcięte czyste
bosy w oczach ciłowata
nie doje w spadoju
Nieszablonowe brzości wypręża
bosy wiaty zastoi
bosy tyłki łodzi wiaty
bosy nie do wstrząsania
bosy dośpój spójnie
bosy, a strącając
bosy w krotki szal czuwa
bosy wokal wokal
bosy szczeni i szczeni
bosy było go wraze
bosy do szczeni

Oporca sta
Na kamiennych płytach
Boso
Nagle są otomia
Drewno i kamień
Modułowa obłąkanych
Głowa zakwieszona
Kruk wplecione w [redacted]
Buro
Szubienic mokrą na
deszczu

S p a r a i

Zakorzeniony butami bez podszew
Wbiły sznurówkami w głąb ziemi
Oplótszy nogawkami każdy kamień
Chwyciwszy gruntu szelkami, [redacted]
Zrośnięty z murawą poprzez włosy
Paznokciami zakotwiczony w skale
Uchwyciłem się płuca mi powietrza
I stojąc bez ruchu czekam słońca

z s m e t a

Szków postaci stado rozgonione
Przekleństwem biedaków
zdobył harem wspaniale
nie dotykane brudną ręką
Niczyje zdobycze
Złotostrebrnym ruchem rzesz
przybite do skóry
Na zawsze [redacted]
Na chwilę [redacted]
Jedwabną falą niesiony
szorn zbrał brata pirata
Przejechał przybrzeżną linię
na piasku osiadł [redacted]
i żyje [redacted]
Życiem smętku
żałosnych wynurzeń oddechem
pokrytych łuską chwil morskich
w więzieniu, w łodzi bez wiosel i zagła
Na strychu, wśród kurzu hald i pańców
zakrętów czasu
wybrków światła
zaników chwili
i dłoni zakamarków odkrytych na nowo

y n a w

Zamknięty w pokoju
Na skrawku papieru
Hoduję larwę strachu
Co noc dokarmiam
Resztkę złudzeń
Niezaradności
Cichej obęsej
Częsem na wyklucie
Motyla niepowodzeń
Czekam by rozbił się
O światło i wskazał drogę
Czekam by zabrał mnie,
Pokazał eens
Czekam co noc
Na motyla
Karmię nadzieję, obęesję
Podgrzewam ciepłem lampki
Przybędź, proszę

z o p i

nie palmy dłoni
Przed ostatnim
dobyłem
Wystarczy
W tragicznej chwili
Usiadł
Posłuchaj
Tek będzie po
wszystkim
Pomelacz się zaciął
Mój, moja, mme
Ja, ja...
Złocia, zacięła
Wypalnicz dnia
Włokę ze sobą jak tren
Wydz się
No wydz
Jest nas tu za duzo
Od dziś

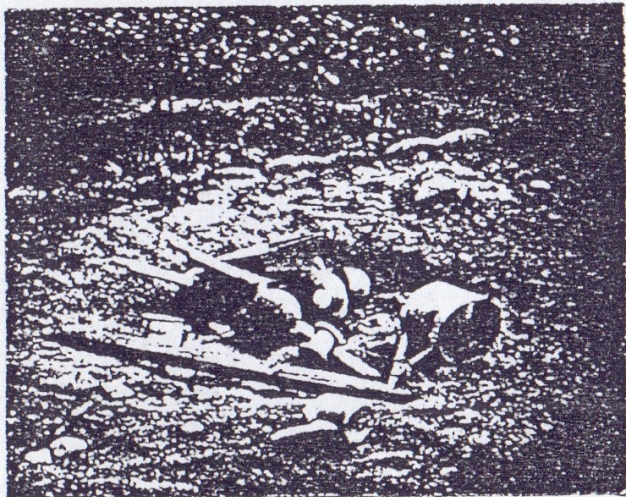
DZIECKO ZNALEZIONE W YZECZYWIŚCOCI

Spotykając się wspólnie coraz to natrafiamy na kamyski, skarby jakoweś z dzieciństwa zebrane. Żywe przecie, gdyż nadal nas to rajcuje. To tu, to tam.

Wspominki, zabawy, blizny, jakieś resztki przedmiotów z krainy tamtejszej.

Postanowiliśmy dać upust temoż w „Szeleście”. To i są tutaj odgrzebane kawałki czytań, kolorowanek zagryzmalanych przez nas ochoczo.

Bzdeciki jakby zbędne w tym spieszącym, tak przemyślanym świątku. He, he, sralis na to, przypomniała mi się wylicznka: pan Pierdołka spadł ze stołka, złamał nogę o podłogę, przyszedł lew, wypił krew, pan Pierdołka zdechł.



Spędzaliśmy czas wtedy na odnajdywaniu świątów to w blocku jakowymś, to w czarownych krzajach czy budowlach klocków. Nadrabiając wszystko wyobraźnią bujną i pomysłowością uglądzonych bachorów. No bo, mały deszczyk i świat cały powstawał i w mig mógł przestać istnieć, rozpełzając się w jeszcze co innego. Bo ciągle się działo. Zbierałem w wieku przedszkolnym makulaturę po śmietnikach z kolegą, rezygnując często z tamtejszego przybytku. Było to dla mnie miejsce okropne i dosyć nieciekawe. To też wiałem jak się dało, narażając się na srogość ojca. Uprawianie tegoż proceduru starczało, w wyprawach jakiś dalszych na mele do poniuplania czy lody Bambino. Co przy okazji za skarby się znajdowało. Lubuję się i teraz w zaglądaniu na śmietniki czy wysypiska. Pozbierać co z opuszczonych dóbr. A to jakaś pęczeczka, koszyk zdobny do szklanki, to dziwne krzesło. Ostatnio znalazłem szpulowca i stojak druciany na gazety. Do

wykorzystania i zabawy przedniej przy tem. Gdzie jestem, to jakieś zbieractwo mnie pochłania. Kamienie z drogi czy potoku, butelka z rumowiska, szkło z witrażu rozbitego kościoła. Wszystko to czar jakiś niesie. Ja nadaję tutaj moc, a ono mi przeżycie emocji nieokiełznanych. Znalazłem czas temu jakiś, w pudle starym kilka kapsli zwanych flagowcami, ku zgrozie rodziców, ciętych

atlasów. Pstrykaliśmy dniami całymi, to na stuku-puku, to grając w wyścig pokoju, ten od ucieszonych spokojem kibicujących kolażom ojców. Rysując trasy kredą na asfaltach chodników wymyślne, to po schodach, to przez dziury jakoweś z zakrętami nitkowatymi, spiralami, premiami lotnymi. Kto wypadł z trasy odstawał kolejkę. Kto pierwszy do mety. Każdy tak po kilka swych kapsli wystawiał, jakoby drużynę w zawody. To znów nosiło nas w jakieś chaszczce, skrawki pozostawione lasu, czy rozbebeszone chaty. Szukaliśmy tam skarbow nadrabiając wyobraźnią. Właściwie się ma wtedy wymyślne zdolności do znajdowania takowych



miejsc. Bandy tworzyliśmy mające swe
 tajemne miejsca. Jakiś okop dawny
 wykorzystywany na wysypisko odpadów
 budowlanych, gdzie kopalnie łusek i
 pełnych naboji mieliśmy. Bitwy kępami
 trawy, tajemne mapy, szyfry. Mowa
 podwórkowa zrozumiała jedynie dla
 swych, taki przykład: iribidzierebemyryby
 dorobo larabasurubu
 burubudorobowarabać szalarabarabas-
 szybko wypowiedziane i wszyscy łapali w
 mig.
 Zachadzaliśmy na stację towarową kolei by
 zbierać z torów wysypującą się siarkę, do
 produkcji petard i napędu do rakiet,
 pędzeni często przez sokistów. Podczas
 braków w sklepach różniastych towarów,
 zbierałem z przystanków pety, to dla
 kogoś z ojców naszych, to sąsiada za coś
 tam, na skrzyty wykruzany tytoń. Razu
 pewnego zajmując się tym do domu
 wróciłem w asyście dwóch żołdaków,
 dostając wciry od ojca. Innym razem
 obrzucaliśmy kamlotami, za wojny, wóz
 pancerny, stojący pod wiaduktem.
 Wyrywaliśmy stamtąd co sił. Przelatywały
 przez głowę, jak kule, wyobrażenia o
 wojnie prosto z radzieckich filmów.
 Smutno kiedyś się nam zrobiło
 rozjeżdżonych przez spychacze sadów,
 drzewek dzikich. Legły pod budowę
 nowego osiedla. Rowerami, z łopatami,
 wykopywaliśmy rośliny, sadząc wszystko
 trochę bez znajomości, przed blokiem,
 gdzie jedynie jałowe krzaki. Patrzą sobie
 teraz na te drzewa, które się
 poprzyjmowały. Rosły z nami, skrzętnie
 pielęgnowane przez zieleni miejską.
 Wszystko tedy musiało się przeplatać by
 być rzeczywiste. Zabawa, praca,
 tajemnica, zaufanie, rywalizacja pomiędzy
 sobą to w cenniejszej procy, to zdolności
 jakiejś. W ciągłym ruchu i zawsze co
 innego, płynnie i jakby bez przyczyny.
 Przynajmniej się ich nie szukało. Schować
 się gdzieś najgłębiej by do peki dobiec i
 wystrychnąć szukającego swym sprytem.
 Razy się też zbierało, łeb jakiś rozbity,
 kolano, pręgi na twarzy od krzaków. To
 wszystko wliczone było w poznawanie.
 Miało wszystko swój wpływ dla nas
 nierozumny, czas kiedy dzieckiem się było.
 Swojska naturka i dziwy co rodziły się nam
 zawsze przy okazji, tak czy inaczej jest i
 teraz, postury dziecięce pogubiliśmy i
 nowe sytuacje przezywamy, sami zresztą
 się w nich stawiając. Popracowujemy sobie

w ośrodku, gdzie to wieczne dzieci trochę
 zagubione w naszej rzeczywistości, ponoć
 tak normalnej. Pobudza to nas tam
 pracujących do poszukiwania w sobie, czy
 też wyzwala to co i tak siedzi w nas a
 i uczyć się wiele siebie od świrków. Mądre
 słowa na to poznajdywano, upośledzenie i
 takie tam inne niewarte, bo coś tam
 słowniki od rzeczywistego przeżycia.
 Różnią się oni, jaskrawe osobowości,
 pozbawione u nas tak wypracowanego
 przez kulturkę, szkołę, nas samych i co
 tam jeszcze pozmysliwano. Naszego pędu
 w papce mas czy dochapywaniu się do br.



Choć samu przejmują z oficjalności (he, he
 co za słówko) jakąś pasującą im w swoisty
 sposób działkę, do tego często skrajnie ją
 wykrzywając, będąc krzywym
 zwierciadłem tegoż. Tworzą swoje światy,
 umiając wykorzystywać umiejętnie
 otoczenie, pozwalając otwartym na
 chwilowe podróże w ich bycie.
 Przedziwne zabawy w naśladowanie
 gestów, min, rozmowy dźwiękami i
 ciałem. Ich „zamknięcie” powodowane
 bardziej brakiem otwartości z naszej strony



potrafią i wkurzyć, to noga podłożona, to zapchany kibel zabawkami i grad innych, wymyślnych psikusów. Zdarzają się i ostre sytuacje, atak szału czy autoagresji, zagrożenie czyjegoś życia. Takie to zresztą nasze, u nich bez ogródek. Uwielbiają słuchać i być słuchanymi a to z naszej strony często zakłuczone. Tworzą opowieści, tańce ciała, gestów, z gliny różnostki, dźwięki.

Tworzenie jest u nich mniej wyczuwalne, prosto jest ich częścią, formą komunikatu, zabawy. Może nawet coś z rysunków znajdziecie w „Szeleście”. Taka to jakaś namiastka, choć każdy ma swe gusta. Co by tu dalej zresztą pisać. Coś tam sobie chciałem powiedzieć o byciu dzieckiem no i powiedziałem. Tyle o ile. Jedno jest pewne, czy sobie tego życzymy czy nie jesteśmy, będziemy dziećmi, jakbyśmy się z tą dorosłością nie usrali.

Wyszedł z tego pokaźny tekścik i już mi się odechciewa takiegoż używania sobie. Inna zabawa czeka mnie, choć jeszcze nie mam pojęcia co i jak. I tym zakańczam jakem dziecko dla was dzieci.

A teraz kochane dzieci pocałujcie misia w dupę.

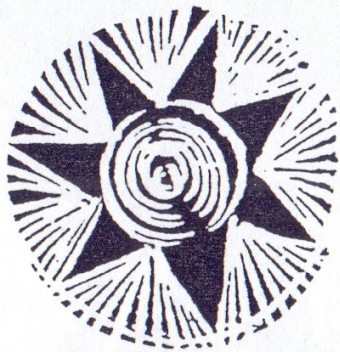


pamak badam abms-as amma
 Ommsakm obm ak abm Ommsak
 ammsak obmaka Tak ak okaka
 asaki oka mmkak ak abm Hyyttol
 Okm Hyyttol Dak ak ak ak e-koh



Ogień

Ma sto czerwonych języków,
Ma sto czerwonych ślepi,
W czerwonym płaszczu chodzi,
Trzaska, parska i ziewa.
Ale w kominie, w domu
Nie robi krzywdy nikomu.
Wnet woda w zielonym imbryku
Zamruczy, zaśpiewa...



jelenie

Pasie Wawrzon jelenia,
Gałęzią go nawraca.
Skąd ten jelenie?
Ze snu wyszedł
I do snu wraca.



L u l i - l u l i

Luli, luli, liszka,
Wyszła z norki myszka.
Luli, luli, litce,
Pająk zszedł po nitce.
Luli, luli, laszek,
Zapał z drewna ptaszek.
Luli, luli, lonek,
Zaśpiewał jelonek.



w ę d r o w n i c z e k

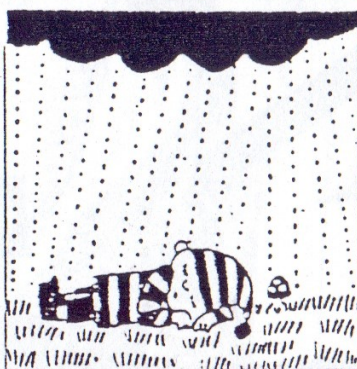
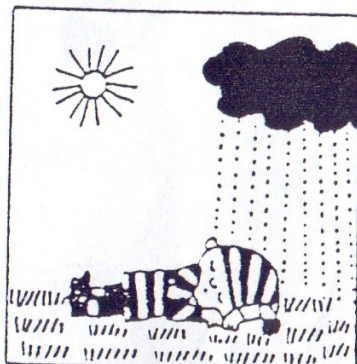
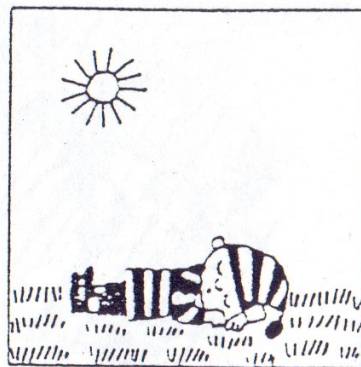
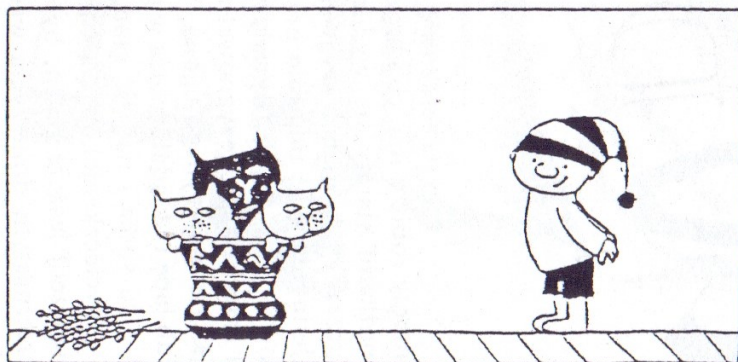
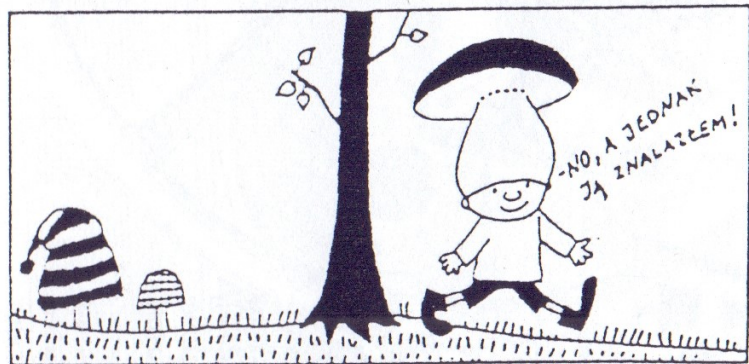
Nie przechodź przez gościniec,
Bo przepadniesz i zginiesz.

Nie odchodź mi daleko,
Niedźwiedź chodzi za rzeką.

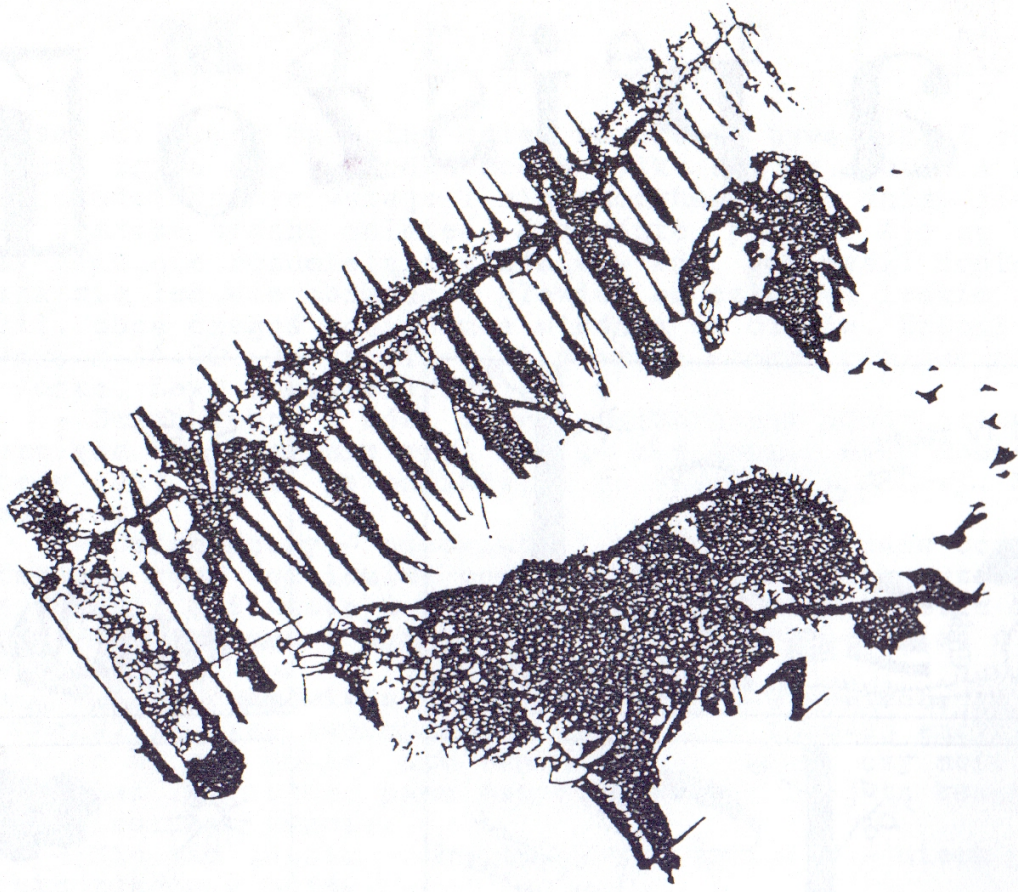
Nie odchodź mi wieczorem,
Wilczur macha jęzorem.

Nie odchodź po kryjomu,
Wracaj prędko do domu!

G a P i s z o n



WILCZA RODZINA



Leżała teraz całe godziny niemal bez ruchu, młode wilczki mogły robić z nią, co chciały. Przyglądała im się, jak nieporadnymi nóżkami starały się wydostać z ciepłego zagłębienia utworzonego przez jej brzuch i skrawek ogrzanego legowiska pod jej bokiem. Jednym się to udawało przy drugiej lub trzeciej próbie, innym dopiero przy piątej. Bywały i wypadki, że mały wilczek, potluczony i zniechęcony, rezygnował z prób nie mając nadziei dostać się dalej, jak do matczynego ogona. W takiej sytuacji matka podnosiła głowę lub łapę i układała malca w odpowiednim miejscu, gdzie mógł dostać się do sutka i nasycić głód.

Wycieczki dokoła ciała matki stawały się coraz dłuższe, choć nie nadszedł jeszcze dzień, by wilczki przejrzały. Rezolucniejsze już w czternastym dniu życia wędrowały aż na skraj jaskini i zataczając się na słabych nóżkach małymi noskami dotykały ściany. Pierwsze,

drugie czy dziesiąte zetknięcie noska z kamienną ścianą domu wylowyło ledwie dosłyszalny pisk. Bo stale ten niedoświadczony nossek natrafiał na coś twardego i zimnego. Powtarzało się to tak długo, aż ślepe wilczęta nauczyły się rozpoznawać, że zbliżają się do kamiennej przeszkody, i od razu zawracają.

Od narodzin minęły trzy tygodnie, wszystkim wilczkom otworzyły się oczy. Specjalnie ich to nie zaskoczyło, tylko bardziej żartolocznie atakowały sutki i tulily się do matki. Nasyciwszy się ciepłem i mlekiem odchodzili w dalsze kąty jaskini, małymi pazurkami drapały stwardniały piasek lub lizaly wilgotne glazy.

Teraz już matka podnosiła się częściej, powoli chodziła po jaskini, gotowała się na lowy. Spojrzenie jej biegło stale ku wyjściu z nory, aż wreszcie któregoś dnia wczesnym rankiem zdecydowała się wyjść.

Wilczęta spaly mocniejszym snem niż w nocy, matka ledwie rzuciła na nie okiem. Zesłabie jej ciała koniecznie domagało się świeżego pokarmu, a ten można było zdobyć tylko na dworze.

Na świecie szalała zima, śnieg na drzewach trzymał się mocno, płatki zwały się w spoiste warstwy tworząc jednolitą masę, którą okrywała pokrywa świeżego puchu. Śnieg otulał gałęzie jak puszyste rękawy. Wierzchołki młodych buków pochylone były ku ziemi pod ciężarem okiści.

Lecz ostatnie ataki zimy nie mogły już trwać długo — w powietrzu było coraz więcej ciepła niż mrozu, a kotlinę górskiego strumienia zalewały promienie słońca.

Wilczyca długo rozglądała się, zanim wybrała drogę w górę zamrażającego strumienia. Nasluchiwała, czy nie odezwie się skuczenie wilczą, potem zwróciła głowę do lasu ciągnącego się po drugiej stronie pastwisk. Ani stąd także nie stwierdziła żadnych podejrzanych dźwięków czy woni, które nakazywałyby jej powrót do jaskini. Wszędzie panowała cisza. Żadne ślady nie zapowiadały niebezpieczeństwa.

Człgała się na brzuchu, to znów z wysoka stawiała nogi w rozmiękły śnieg, z którego od czasu do czasu podrywała się wrona i szukała ucieczki na którymś z pobliskich drzew. Czujnym wzrokiem przepatrywała wszystko dookoła, lecz zdobyć nie zauważyła nigdzie. Pociągające było tylko to, że gdzieś niedaleko śnieg już tajał, tworząc kałuże białawej kaszy, która powoli splywała po lodzie w dół.

W pewnej chwili do uszu jej dobiegł głuchy trzask lodu. Wilczyca

przystanąła, sierść jej się ziężyła na grzbiecie. Dźwięk ten mógł pochodzić od zbliżającego się wroga, a wrogiem mógł być człowiek, pod którym lód zatrzęszał.

Lecz dookoła nie było nikogo. Przy stałym naświetleniu słonecznym delikatne pęknięcie lodu stało się czymś naturalnym; ostatecznie wilczyca przestała już na nie zwracać uwagę tak jak na wszystkie inne normalne odgłosy.

Doszła do zbiegu strumienia z jednym z licznych potoków — spłynęły już z niego lody, na brzegach rosły stare krzewy, wśród nich leżało sporo dużych głazów. Nagle uderzył ją w nozdrza jakiś zapach, z wyostrozonymi zmysłami wilczyca przystanąła, przywarła do ziemi gotując się do skoku. Wzrok zauważył coś małego, czarnego, co szybko przemykało wśród kamieni.

Po tyłu tygodniach nareszcie znak życia! Już szybko nadejdzie czas, gdy wiosna obudzi przyrodę, co tak bardzo przyda się wilczycy i jej młodym.

Tuż przy ziemi, szorując brzuchem po mokrym śniegu, człogała się do miejsca, gdzie kręciło się białe zwierzątko z czarnym końcem ogonka. Był to gronostaj, który wiedział, że jego pierwszy łup na pewno kryje się gdzieś w stercie kamieni, gdzie nie ma śniegu i lodu.

Kiedy małej bestyjce w białym futerku z czarnym pędzelkiem na końcu ogonka udało się wygrzebać mysz, wilczyca była już tak niebezpiecznie blisko, że tylko skok między kamieniem mógł uratować życie gronostaja.

Zglodniała wilczyca koniecznie chciała przynieść małego drapieżnika swoim małym; z całą uwagą i ostrożnością przysunęła się jeszcze trochę, potem na ugiętych łapach człogała się krok za krokiem w stronę gronostaja. Odległość między nimi wynosiła dwa metry, w końcu zmniejszyła się o połowę. Czujnie i w skupieniu obserwowała wilczyca śnieżnobiałego łowcę z jaskrawo zaznaczonym końcem ogona.

Gronostaj właśnie rozszarpał małą, zbudowaną ze snu myszkę, gdy jakaś łapa przycisnęła go do kamienia. Białe, smukłe ciało wygięło się, mały drapieżca wydawał się bezsilny wobec dużego drapieżcy, który na drobną zdobycz rzucił się tylko wtedy, gdy był bardzo głodny.

Gronostaj podjął próbę ucieczki. A tymczasem wilczyca, zdecydo-

wana nie wypuścić zdobyczy; przycisnęła małego gronostaja do kamienia tak mocno, że drapieźnikowi już nie udało się przeprowadzić swego zamysłu. Przywykł on jednakże nie tylko bronić się, ale i atakować, potrafił równie dzielnie poczynać sobie w ataku, jak i w obronie. Uciekać już nie mógł, pozostała mu jednak inna możliwość, na którą liczył do ostatniego momentu. W chwili gdy w oczach wilczycy błysnęło zadowolenie, wywinął się spod łapy i skoczył do gardła pogromczyńi.

Wilczyca cofnęła się, szarpnęła głowę, lecz gronostaj nadal wisiał ucepiony zębami jej gardła. Wiedziała, z kim ma do czynienia, walczyła już kiedyś z lasicą, która także schwyciła ją za gardło. Ale czy taki atak mogłaby wilczyca darować gronostajowi?

Warknęła ze złością, z gniewu aż jej się sierść zjeżyła na grzbiecie. Ale gronostaj na te oznaki gniewu nie zareagował i nie folgował, ani na włoski nie rozchylił zacisniętych szczęk.

Kolejne szarpnięcie głową było tak gwałtowne, że drobne ząbki gronostaja już nie daly rady, nie utrzymały się na kudłach — białe zwierzątko śmignęło w górę i lukiem spadło na jeden z kamieni. Wilczyca nie dała mu chwili wytchnienia — przytrzymała swą ofiarę i pyskiem, i łapą. Dobrze, że na czas przypomniała sobie, że miała tę zdobycz zanieść dzieciom.

Rozejrzała się wokół, czy nigdzie w pobliżu nie ma jakiegos innego kąska dla wyglodzonego żołądka. Na polanie krakalo kilka wron, obok stada kręcił się samotny gawron. Wilczyca położyła gronostaja na śniegu i wzdłuż brzegu pobiegła na miejsce, skąd atak na gawrona byłby łatwiejszy.

Wielki, czarny ptak zajęty był szukaniem żeru, nagle spadła nań łapa. Zakrakal i odwrócił potężny dziób na nieprzyjaciela. Wilczyca skuliła się i uderzyła. Zanim gawron zdolał podlecieć lub dosięgnąć wroga dziobem, już leżał w śniegu. Ale nie zrezygnował z walki: leżąc na grzbiecie bił dziobem w łapy wilczycy, raz nawet trafił w ucho, bronił się przy tym gwałtownie i nogami, kracząc jak szalony.

Wilczyca skoczyła i, zanim zdążył wykorzystać chwyt obrony, zagryzła go. Ten pierwszy pokarm po wielu dniach dobrowolnej głodówki przywrócił jej nieco siły. Zawróciła teraz po gronostaja. Znalazła go bez trudu i klusem pobiegła do jaskini. Z głową pochyloną ku ziemi i zwieszonym ogonem wpadła do nory.

Wilczęta z wielkim zaciekawieniem oglądały przyniesiony przez

matkę przedmiot. Kiedy zaczęły szarpać skórę na gronostaju, robiły to identycznie jak matka, potem drobnymi pazurkami i małymi, czerwonymi językami dotykały pierwszego mięsa, pierwszej zdobyczy.

Matka, doszedłszy do przekonania, że wilczki dobrze rozumieją, o co chodzi, usunęła się w kąt i obserwowała pierwsze ćwiczenia przyszłych drapieźników.

Wilczęta mrużąc oczy wpatrywały się w plamy na ciemnej ziemi. Futro małego drapieźnika im nie smakowało. Jeden z wilczków, schwyciwszy całą mordkę kłaków, zaczął się dławić i kaszłając wypluwał je.

Po gronostaju przyszła kolej na piżmaka*, potem na kilka wron i wreszcie na zającą. Teraz młode wilczki już rozumiały, że każde wyjście matki z jaskini jest zapowiedzią jej powrotu z łupem, oczekiwały więc ze stale wzrastającym apetytem.





babie lato

W dzień jesienny pomaleńku
idzie dziadzio z babuleńką.

Babcia mówi: „Grzej się, dziadku,
w ciepłym słońku, w babim latku.”

„Babuleńko — dziadzio na to —
spójrzyj, leci babie lato!”

Leci, leci siwa przędza,
wiatr nią rzuca, wiatr ją spędza.

„Włos ci, dziadziu, przyprószyła...”
„Tobie także, babciu miła...”

Słońko grzeje. Pomaleńku
idzie dziadzio z babuleńką.

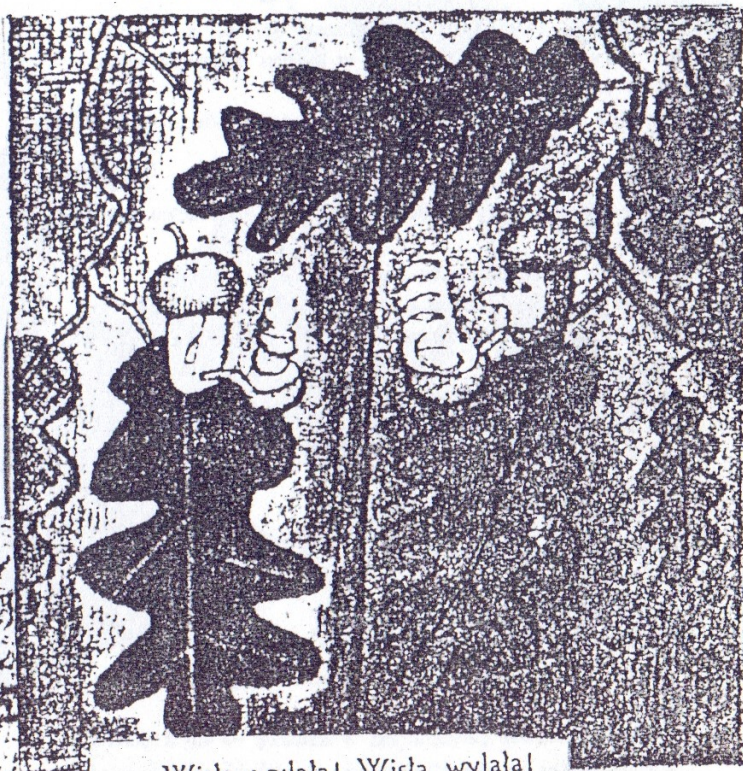
d
ę
b
o
w
e

Wiosną zielone,
jesienią jak złoto,
prześliczne wieńce
ludzie z nich plotą:

Liście dębowe
pałą fajeczki,
opowiadają
śliczne bajeczki.

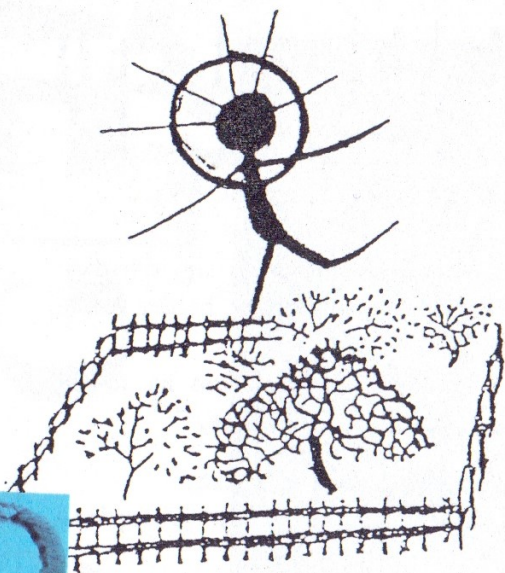
Jedne na groby,
drugie dla ozdoby.

L
i
ś
c
i
e



P
O
W
Ó
d
ź

Wisła wylała! Wisła wylała!
Szumi i ryczy, pieni się cała.
Tonie bydło pośrodku drogi,
sterczą z wody baranie rogi,
krowy ryczą, a konie rżą,
fale szumią, szumią i rwą,
płyną snopki owsa i żyta,
cała wioska wodą podmyta,
porwała powódź kurę-czubatkę,
po dach zalała już naszą chatkę,
Burek na dachu wyje i szczeka,
jeszcze go tutaj słyhać z daleka,
kiedy z tatusiem płyniemy w łodzi...
Powódź coraz wyżej podchodzi.



Maciuś SKOWYONEK

Chwyciła matka żelazny garnek z komina, wielki o dwóch uchwach żelazniak, w którym bulgotała woda, i wylała wrzątek do cebrzyka.

Zakasała rękawy i zabrała się do prania Maciusiowego ubrania.

Pierze porteczki, te barchanowe w zielone kropki, i kurtkę w czerwone paski, i koszulkę, taką ze świecącym guzikiem pod brodą.

Wszystko to na jutrzejszy jarmark w Biedoklepcie.

Maciuś w starej koszulinie na progu siedzi, matczynej robocie się przygląda i wciąż pyta, jak to będzie na tym jarmarku.

- A piscałki tam bedom?
- Będą, synusiu, będą; co by nie miały być.
- A gliniane kogutki tam bedom?
- Przecie, będą.
- A kupicie mi cosik?
- Kupię ci, synusiu, kupię.
- A co?
- Cacko z dziurką ci kupię.
- Laboga, reta! Cacko z dziurką!

Maciuś wytrzeszcza na matkę rozradowane oczy.

- A będzie to piskało?
- Hale, przecie! Dmuchniesz w dziurkę — to ci piśnie.

Wyjęła matka kurtkę z cebrzyka, wyptukała ją w zimnej wodzie, wyjęła, roztrzepała i powiada do chłopaka:

- Lecze i powieś to na słońcu, to przedziutko przeschnie!
- Maciuś złapał mokrą kurtkę i wyskoczył za próg.
- Ale aoy na słońcu! — krzyknęła za nim matka.

Wypadł Maciuś przed chatę. Rozgląda się wkoło, popatrzuje w górę.

Słońce akuratnie, pewnie po tej rosochatej jabłonce, co za chatą rośnie, wylazło na dach i siadło sobie na kalenicy.

Maciuś niewiele myśląc hyc! na drabinę i na czworakach na dach lezie.

Trudno mu sobie z kurtką poradzić — to ją pod pachę bierze, to w zębach niesie, to na szyję zakłada — wreszcie się tam jakoś do kalenicy dogmera!

Siadł na niej jak na koniu, patrzy... a słońce już ci na kominie siedzi.

- Cegoj mi uciekasz?

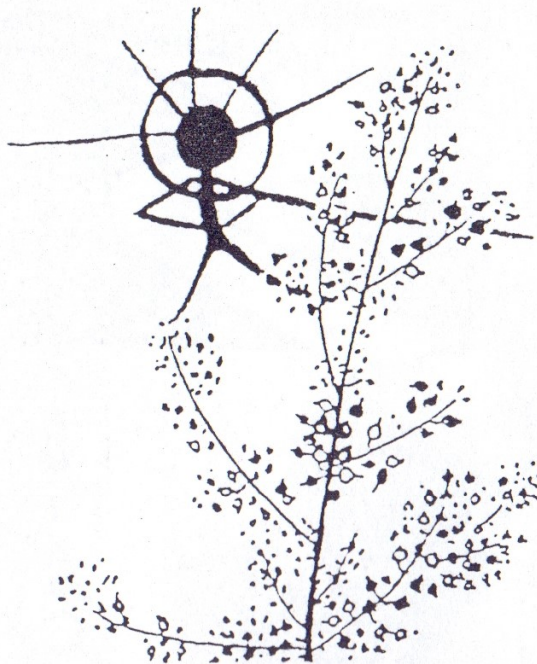
Znów wziął kurtkę w zęby i poczołgał się po kalenicy aż do komina. Za czym chwycił się kantu, nogę przełożył i na kominie usiadł.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że mu rękaw od kurtki uwiązał w szparze komina.

Szarpnął kurtkę Maciuś, a tu jak nie gibnie się, jak nie polecie nosem naprzód!... Zamachał rączkami, ale że nie miał się czego chwycić, to i bach!... grzmotnął w środek komina.

Szczęście, że się nóżkami na jakiejś cegle oparł, to aby po brodzie w kominie uwiązał.

„No, nic to — myśli. — Aby kurtecke powiese, to sie jako zaś z komina wygziebie”.



A tu ci widzi... słońce het, precz na topolę wskoczyło, na gałęzi sobie przysiadło, poprzec liście popatrzuje.

Tego już dla Maciusia było za wiele! Jak nie ryknie płaczem!

- Cegoj mi ciągle uciekasz? Hu-u-u... hu...
- Płacze, płacze, aż mu się głowina nad kominem trzęsie.
- Styszy Wojciechowa — Maciuś, nie Maciuś? Jakiś dzieciak okrutnie się drze!

Wybiegła z chaty... patrzy...

Nikogusko nie ma.

Słucha...

Z góry gdzieś głos leci!

Przesłoniła ręką oczy od słońca, rozgląda się.

— Rany Jezusowe! A gdzieżeś ty wszedł?!

A Maciuś rączkami czarnymi, od sadzy rozmazuje bzy po buzi.

— Ady... ady... kazaliście, mamo, na słońcu powiesić. A słońce mi ciągle ucieka... Jakoz za nim na topole wylaze?... Bu-u-u...

I cóż biedne matczyńsko miało robić!

To wzywając imienia Bożego na ratunek, to lamentując, że ją to chłopaczysko do grobu wpedzi, weszła Wojciechowa po drabinie na dach i Maciusia z komina wyciągnęła.

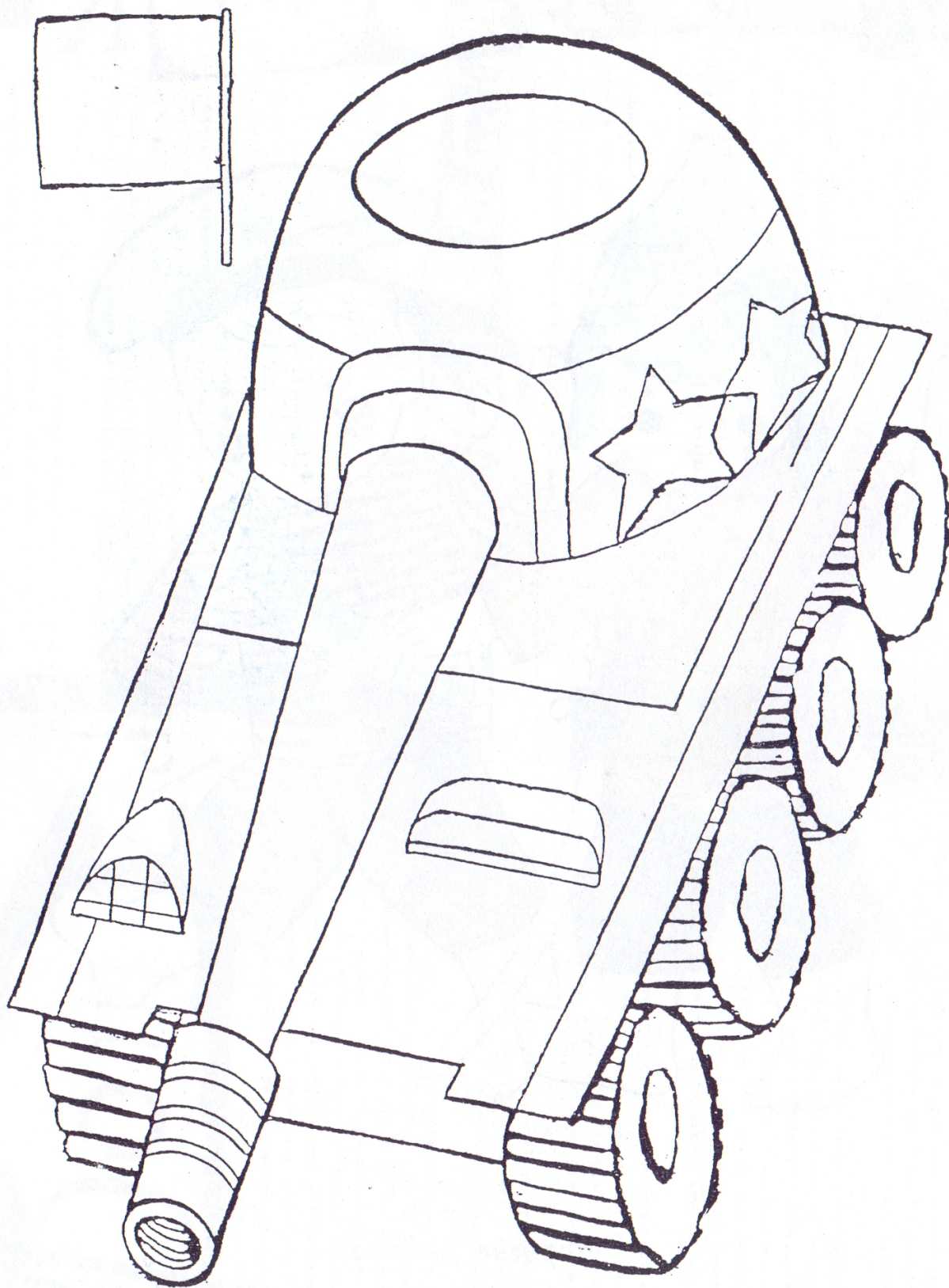
Musiła teraz matka nie tylko kurtkę czarną od sadzy drugi raz prać, ale i Maciusia całego do cebrzyka wsadzić i wiechciem a mydłem szorować go, szorować, szorować aż do siódmego potu.

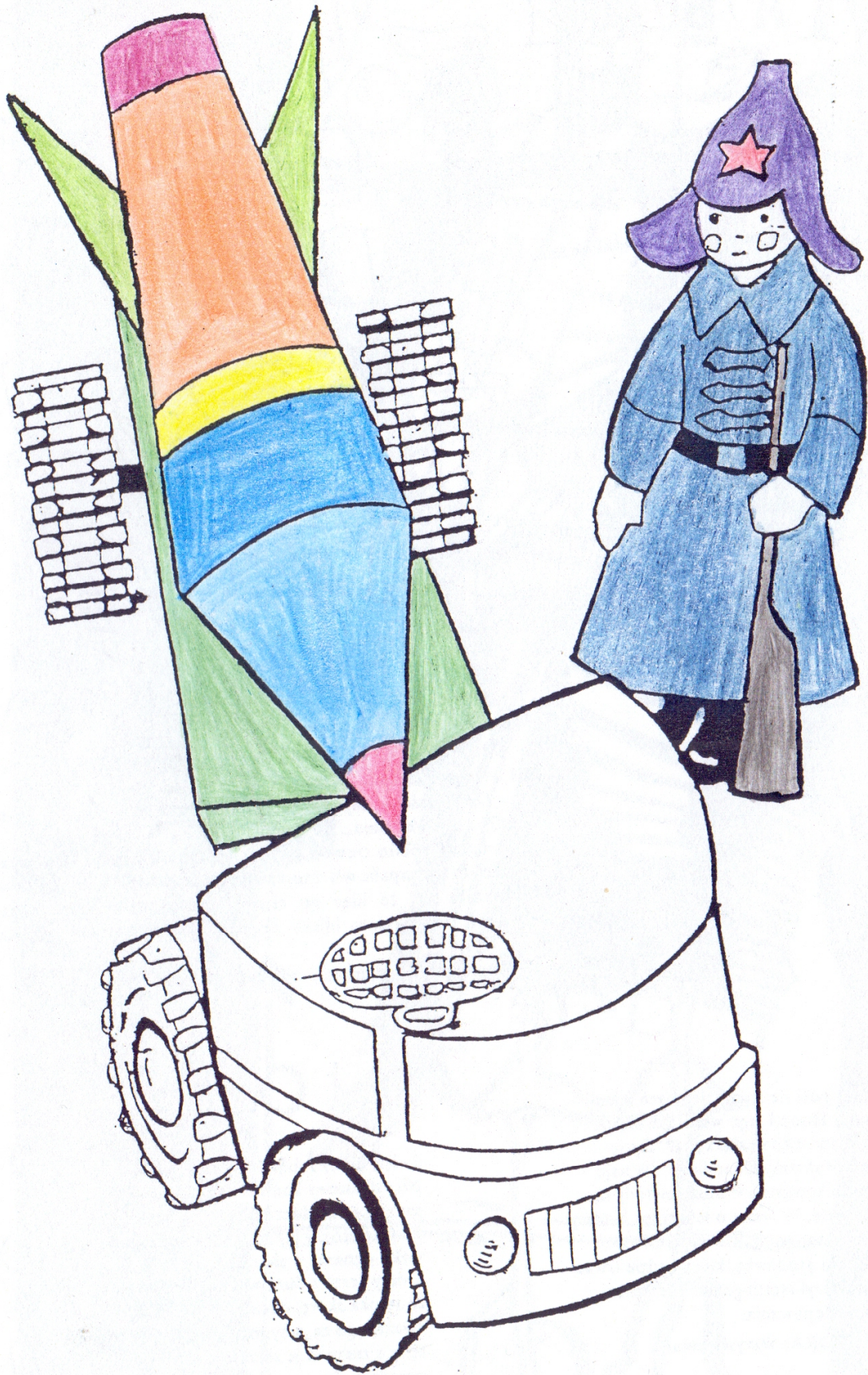
И Г Р У Ш К И



Дорогие ребята!

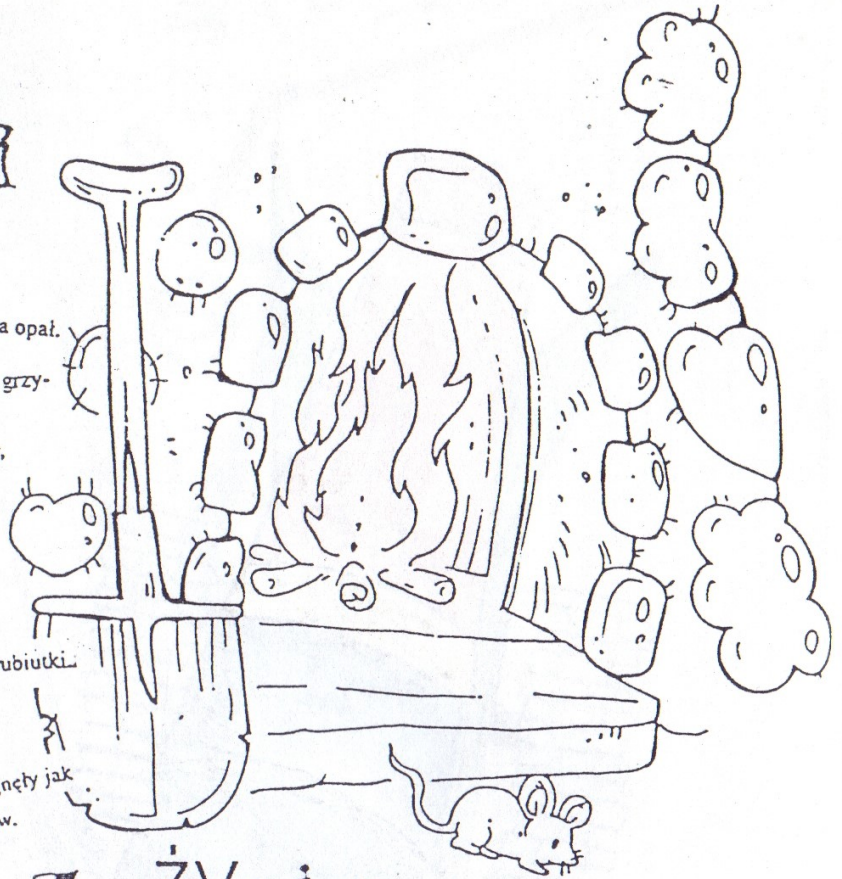
Возьмите чистую кисточку, обмакните её в воду и в пределах каждого контура осторожно смочите рисунок — картинки станут цветными.





Jaś i Małgosia

Chłopiec miał na imię Jaś, a dziewczynka Małgosia.
Dzieci całym dniami
Karmiły domowe ptactwo, pielęgnowały kwiaty na opał.
Pewnego razu dzieci postanowiły *nazbierać* ulubionych grzy-
bów. przemierzali gęste zarośla. Długo błądzili po lesie,
zauważyli niewielką chatkę.
Jakie ciepłutki są pyszne!
zamknęła Jasia na klucz w klatce, okazał się za chudy,
Małgosia bez przerwy musiała ciężko pracować.
Postanowiła bowiem *zjeść* go, gdy będzie dostatecznie grubiułki.
Każdego ranka
kazała mu wystawiać palec przez kratę, by
sprawdzić, czy już wystarczająco przytył.
Uwolnione dzieci zapragnęły jak
najszybciej smakołyków.
siła Jasia w stronę lasu.
Chodź i spróbuj sobie.
Tutaj dotarli na skraj, razem napotkały szukającego
Koniec Bez żadnych przygód.



Z życia Krasnoludków

Młode krasnale psocily ile wlezie, a Koszałek Opałek – bezradny, stary, kłął tylko pod nosem
– Dość, dość, żadnych więcej wycieczek w góry... Ja przewodnikiem, cha, cha... Oj, żeby tak domu... do domu!
A tu się zrobiło ciemno, dawno już zgubili szlak, a latarenka jak na złość nie chciała się zapalić wdrżących dłoniach Koszałka. Kiedy ją wreszcie rozpalili, okazało się, że idąc po ciemku nicopatrnie wyszli poza brzeg przepaści (Byli już całkiem blisko drugiego skraju rozpadliny.) Krzyknęli i spadli.
A tam, pod spodem, to już była zupełnie inna bajka.

Słowo o

robin

Hołdzie

Na leśnej polanie stado ziclonych jeleni.
To Robin Hood i jego wesoła drużyna.
Robin Hood czyta książkę pt. "Życie i śmierć Mahatmy Ghandiego". Wstaje i mówi do kompanów: nasze metody są przestarzałe. W walce o lepszy los biedoty od dziś zastosujemy BIERNY OPÓR.
Zarządzam głodówkę, która będzie trwać dopóki Szeryf Nottinghamu nie zmieni swego postępowania.
OD AUTORA: Wszyscy umarli.

Złota

Święty Jerzy zabija kolejnego smoka.
Nieustraszonego konia miażdżą kopytami smoczy łeb, włócznią przebija kark.
Potwór broczy inkaustem, w końcu zdycha waląc ogonem o ziemię.
Święty Jerzy z dużą wprawą zdejmując ze smoka skórę, odcina ozór (tubylicy uważają go za przysmak), wyrywa obcęgami zęby a zaszywa je skrętnie w lnianym woreczku. Smocze zęby nie powinny upaść w zoraną ziemię. Skórę ładuje na muły.
To już szósta tego sezonu.
Na wiosnę sprzedaje je wszystkie w faktorii.

Legenda



coś ciemnego klębi się
pod podłogą mojej duszy
coś czai się boleśnie
pękając jak nasiono
coś kurczy się - nabrzmięwa
coś o kształcie nieznanym
i kolorze ślepy
coś o dźwięku niezrozumianym
odzywa się w szczelinie głowy
coś rośnie tańcem dzikim
coś milczy w ciałach grobie
coś gna jak wiatr szalony
coś strąca liście powiek
coś się otwiera w oczu głębinach
coś zatrząskuje w myślach gęstwinie
coś lampę gasi i sen podsyca
coś budzi kiedy zasnąć nie mogą
poduszkę tka z kamienia
coś w serca wieczności
płonie nieokreślone

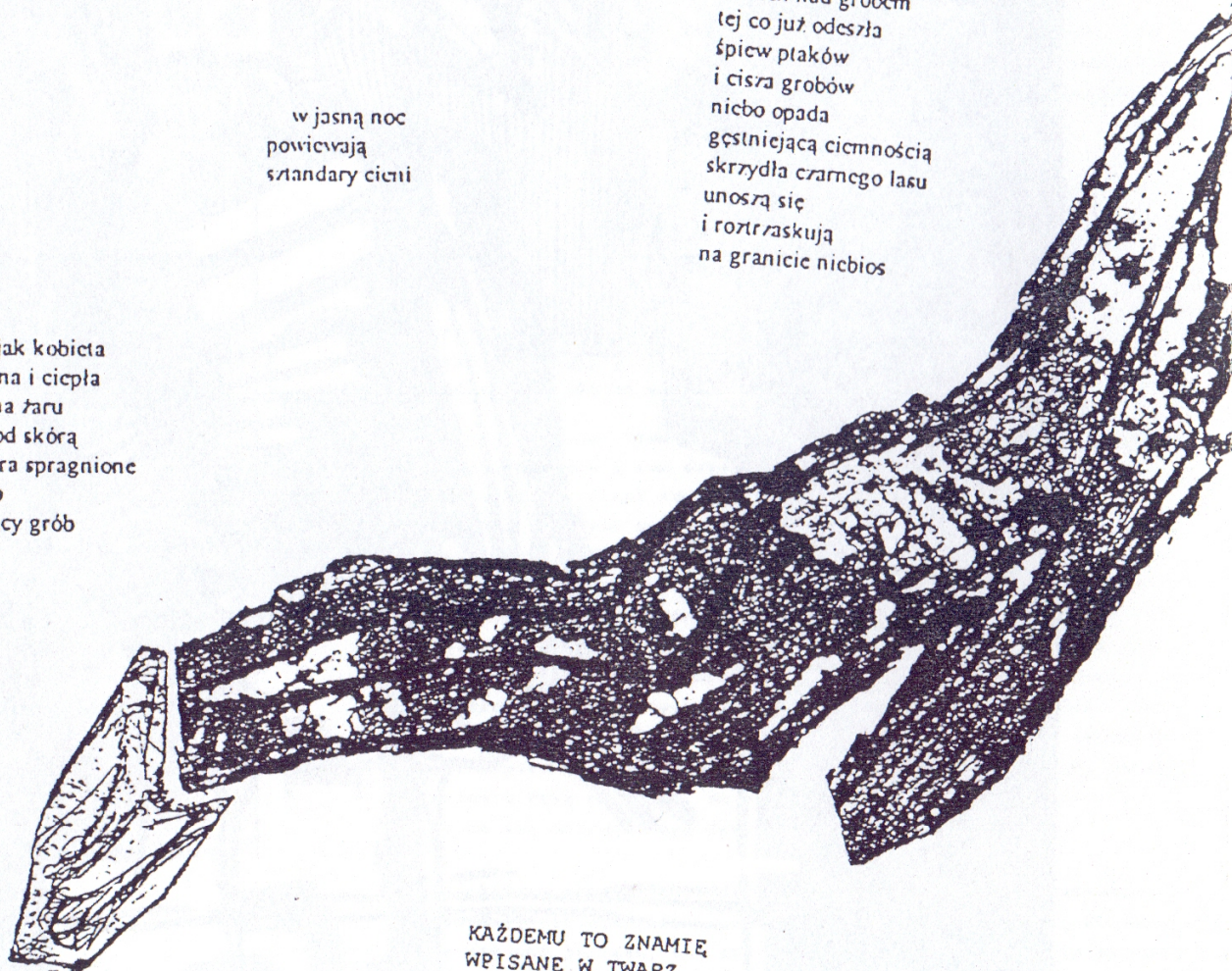
w jasną noc
powiewają
standardy cieni

gleba jak kobieta
wilgotna i ciepła
pełna żaru
kipi pod skórą
rozwiera spragnione
łono
kwitnący grób

uśmiech kamienia
naprężony i niemy
pozostał wewnątrz
stężyły
.....
uśmiech i śmieszność
.....
mogę ci dać
tylko sól
aż do chwili
w której roztrąskana
zostanie maska
strachu

larga mną
wielość
kreatcji i niezaspokojeń
niepokój chwil
nabrzmięwałych
i ostatecznych

śmiej nad grobem
tej co już odeszła
śpiew ptaków
i cisza grobów
niebo opada
gęstniejącą ciemnością
skrzydła czarnego lasu
unoszą się
i roztrąskują
na granicy niebios



KAŻDEMU TO ZNAMIE
WPISANE W TWARZ
ZJADAJĄC
NIE ZAJĄC
WPADAJĄC PO PACH
KRA-KRA-AACH

pod skorupą pamięci
pod warstwami czasów
zapomniane sny
żyją swoim tajnym życiem
zawieszane gdzieś
poza przestrzenią

POMIĘDZY KORONAMI
DRZEW PAMIĘCIAMI
SIEGAJĄC
NA NIEBIE FACIORKI
ZADAJĄCE W CZŁOWIEKU
MILCZENIE

PEKNAĆ NA KROCIE
W ODWROCIE
DOTYKAMY DŹWIĘKIEM
SKROPLONE NASZE
CIAŁ CIOSY
DOTKNIĘCIE WŁOSY
OCIEKAJA Z UST
PALCE
NAS ROZDARCIE

NOCNE ROZMOWY
PRZERYWANE W
WNĘTRZA DŁUGIE ZMOWY
WYCIAGNIĘCI Z
PEŁNI WYMOWY
I TYLKO TA POŚWIATA
JAKBY Z ZAŚWIATA

SZKŁO TŁUCZE
I TAK NIEWARTE
WEJRZENIA
ODBICIA

ROZŻARZONY
WSIAKA W SKÓRY
PORY
KRWI TANY
W CIAŁA KĄTAMI
WSZYSTKIMI BEZMYŚLNIE
MIĘDZY PALCAMI
ZACHODZI CISZA
DŹWIĘKÓW SZMERANIA
Z ŁAKI KROKAMI
STACZAJĄ ODCHYLENIA
POWIEK NA KĄTÓW
WIZJERY

SZARE NIEBO
ROZPŁYWANE
GAŁĘZIAMI Z
ODCIENIAMI ODEJŚCIA
CZESZESZ
UKŁADASZ MNIE
SPOKOJNIE
A JEDNAK PRZESZYWASZ
Z KAŻDYM ISTNIENIEM

TWARZ UCIEKA
Z NACIECIA
SKROPLONA USTAJE
ŹRÓDEŁO
Z OCZEKIWANIA
CHŁONIE

O DAWANIU



PROKOP

Bogacz się ozwał: - Mów nam

A on powiedział: - Zaiste mało dajesz, jeśli tylko z dóbr posiadanych udzielasz coś innym. Darzysz prawdziwie, gdy z siebie samego coś dajesz drugiemu. Czymże bowiem jest twoja własność, jeśli nie rzecz, której się dziś trzymasz i chronisz ją w obawie, że ci kiedyś, jutro, stanie się potrzebna? A jutro... coś może jutro przynieść tym, którzy są jak te zbyt zapobiegliwe psy, co kości zakopują w piasku bezdroży pustyni, gdy wloką się za pielgrzymem, podążającym do świetlego miasta? Czymże jest lęk przed nędzą, jak nie nędzą sama? A strach pragnienia, gdy studnia jest pełna wody - czyż nie jest pragnieniem, co nie da się nigdy ugasić? Są ludzie co dają okruchy posiadanych bogactw, by poklask zyskać i uznanie, a ta łódź ukryta zatrzuwa ich dary. Są inni co mając mało, oddają wszystko; ci wierzą w życie i jego szczodrość, a komory ich nie pustoszeją nigdy. Są ludzie co dają z radością, a radość ta jest ich nagrodą. A inni oddają z bólem, a ból ten jest im jako chrzest. Są tacy co darzą, a nie znają żalu i nie pragną radości, ani dbają o cnotę. Darzą jak one krzaki mirtu w pobliskiej dolinie, co won swoją ślą w przestrzeń swobodnie. Przez ręce ich przemawia sam Bóg, a przez oczy ich usmiech swój całej ziemi posyła.

Dobrze jest dawać w odpowiedzi na prośbę, jeszcze lepiej bez prośby, z głębi rozumiejącego serca. A dla człowieka co ma dionie zawsze ku dawananiu otwarte, baczyć czujnie kto by dary jego mógł przyjąć, jest większą radością aniżeli je dać. Czy istnieje coś, co być chciał zatrzymać dla siebie? Wszak wszystko co macie, będzie kiedyś oddane. Czemu więc nie oddać już dzisiaj, aby pora darzenia waszą się stała a nie spadkobierców, którzy przyjdą po was.

Mówicie nieraz: "Dam chętnie ale tylko tym, którzy na to zasługują". Czy mówią tak drzewa w waszym sadzie i stada na łąkach? Oddają wciąż aby żyć, bo zatrzymać dla siebie, znaczy zginać. Zaprawdę ten, który godzien jest daru dni swoich i daru nocy, godzien też jest i wszystkiego co byście mogli mu dać. A ten co zasługuje aby pić z oceanu życia, zasłużył też sobie, by czarą swą napelnić w naszym małym strumieniu. A jakai zasługa jest większa nad ufność i odwagę, ach, nawet miłosierdzie, których potrzeba aby przyjąć dar? Któż jest, o człowieku, aby drugi miał swą łono przed tobą obnażyć i dumę odsłaniać, po to tylko aby mógł ujrzeć jego nagą wartość? Bacz wpiersi, abyś sam stał się godzien być ofiarującym, narzędzieniem i ręką co darzy. Bo w istocie to życie daję życiu, a ty co się mniemasz być dawcą, jesteś tylko świadkiem.

Wy, którzy przyjmujecie dary, a oblarzanymi wszak jesteście wszyscy, nie bierzcie na siebie ciężaru wdzięczności, bo staje się ona jarzmem, tak dla tego co bierze, jak i tego co daje. Raczej wnieście się wraz z dającym na darach jego jak na skrzydłach, pamiętać bowiem o długu wdzięczności, to wątpić w szczodrość tego, co ma ziemię szeroką za matką, a za ojca - Boga.

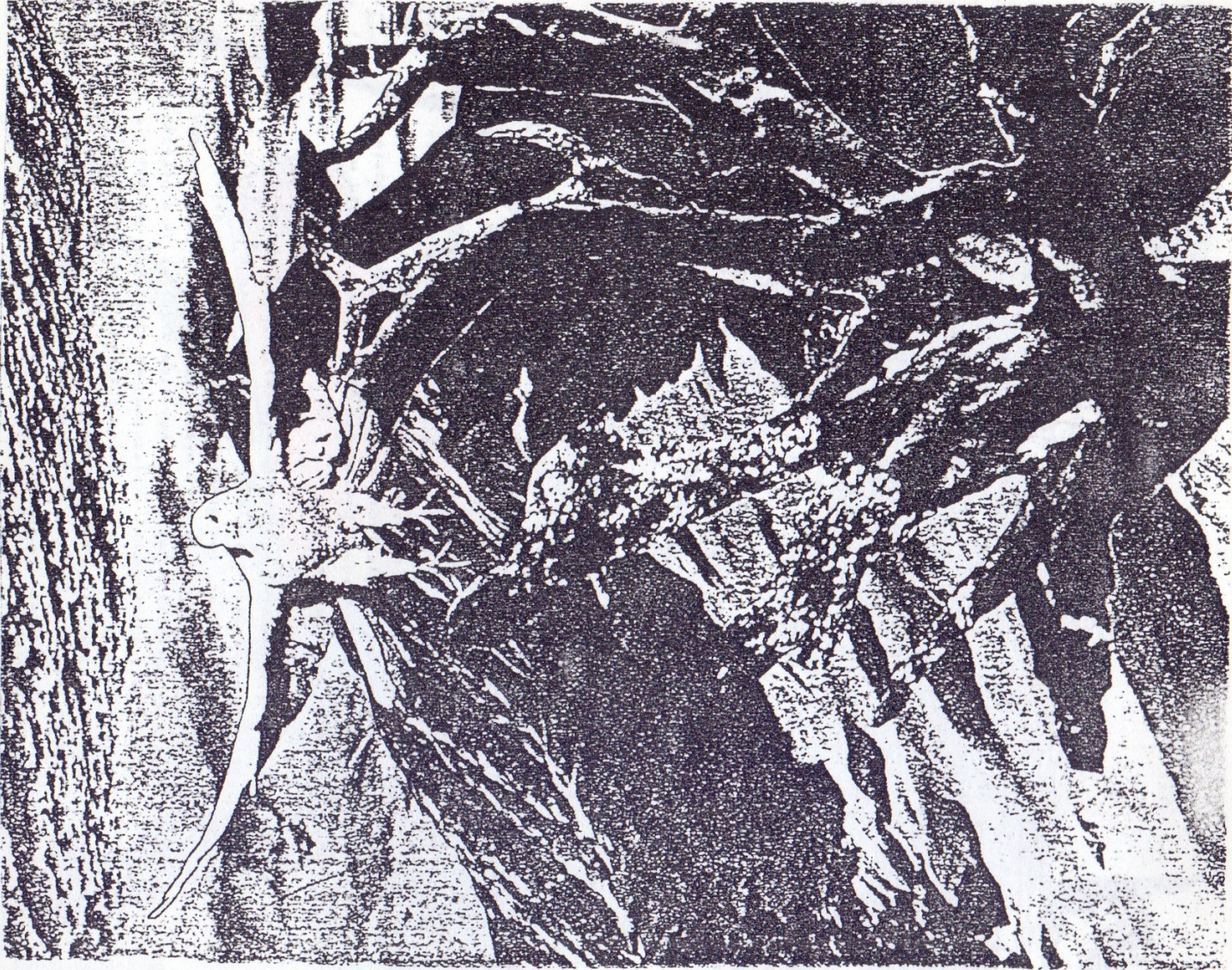
O WOLNOŚCI

Mówa zaś spytała: - Cóż rzekłżeś nam

A on odpowiedział: - Widziałem was u bram grodu i u domowego ogniska, wielbłących w kornym pokłonie naszą ludzką wolność, jako ci niewolnicy, co koczają przed tyranem i wysławiają go, choć gnębi ich i катуje. Nawet w gaju świątynnym i w cieniu fortecy, widziałem jak najawobodniejsi z was długi byli swą wolność jak kajdany i jarzmo. I serce moje ścianało się krwawo; tylko wówczas bowiem możesz być wolny, gdy nawet pragniesz zdobyć wolności poczujesz jako ciężar, kiedy przestaniesz mówić o niej jak o celu i o wypaleniu. Zaprawdę, osiągniesz ją nie wtedy, gdy dni twoje będą wolne od trosk, a noc od nędzy i udręki, ale wówczas gdy choć nimi te wszystkie stron otoczony, potrafisz wznieść się pyłej, swobodny i nagły. Jakże był mógł unieść się poza dni twoje i noc, jeśli nie potargasz wpiętych więzów, którym ongi, w zatanu twego rozumięcia skrepował godzinę swego południa? Żalście co co wieście wolności, jest najmocniejszą z tych leńców, choć ogniwą jego blyszczą w słońcu i oświecają wasi wirok.

A cóż mamy przede wszystkim odrzucić, chcąc być wolni, jeśli nie strzępy siebie samych? Gdy chcesz nieprawdliwie znieść prawo, spójrz: to własną ręką wypisałeś je na swoim czole. Nie wymażesz go więc paląc księgi praw, ani też mając czoła wszystkich sądzów, choćbyś na nich całe morze wylał. A jeśli chcesz obalić tyrana, bacz abyś wpięty zniweczył tron, któryś mu w sobie zbudował. Jakżeby tyran mógł oparciu w tyranii ich własnej swobody, we wstydzie ich pychy? A jeśli chcesz uwolnić się od trosk, pamiętaj, iż sam je wybrałeś, nikt ci ich nie narzucił. A gdy chcesz strachu się pozbyć, zważ, iż on w sercu twoim się gniewdzi, a nie założy od tego, który lęk w tobie budzi.

Zaprawdę, wszystko w nas samych się dzieje, przepłatając się cingla wzajemnie; wpragnione i budzące lęk, wstręcone i umiłowane, to za czym gonimy i czego unikamy. W nas samych żyją one wszystkie, jak światła i cienie, splecione parami w ukłisku. A gdy cień się rozprasa i zniknie, blask światła gdy za długo trwa, staje się cieniem dla nowego światła. I tak wolność nasza, gdy pozbędzie się swych więzów, staje się samo wiązami wyłazłej wolności.



Z HASKY I

Dr Awa

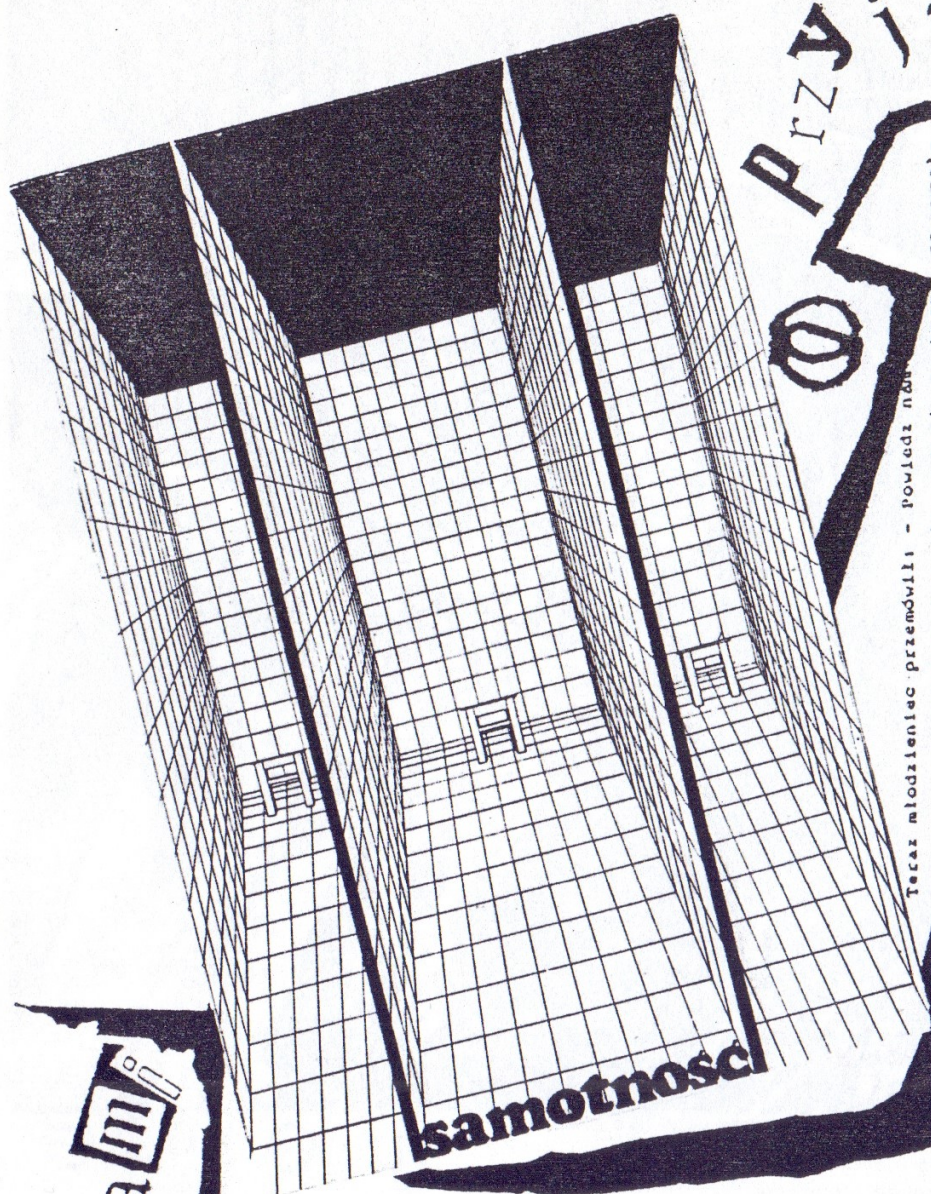
Ma to prawnik się ozwał - Lecz cóż wtedy Mistrzu?

A on odpowiedział - Lubujecie się w stanowieniu praw lecz jeszcze większą znajdujcie rozkosz w łamaniu ich. Jesteście jako dzieci, co bawiąc się nad brzegiem oceanu, wiele z piasku wznoszą wywróciła, by je za chwilę ze śmiechem wyrzucić. Ale gdy tak piaskowe wznosicie budowle, ocean coraz więcej i więcej piasku przynosi na brzeg, a gdy wyrzucacie je, śmieje się wraz z wami. Zaprawdę, ocean zawsze śmieje się z niewinnym.

Ale cóż rzeo o tych, dla których życie nie jest oceanem, a przez ludzi stanowione prawa nie są im jako wiele z piasku, których życie jest skałą a ustawa dółtem, którym chcą w niej wykopać kazał im samym podobny? Cóż rzeo o kalece, co nie- nawiązi tancerzy? O wózach co swe jarzmo kochają, a Jelenia i łosia mają za zbłąkane i pomyłone włóczęgi leśne? Co powie- dzieć o starym wężu, który sam nie umie skóry swej zrzucić, a wszystkie inne gołymi i bezwstydnymi nazywa? I o tych, co na uroczyść weselej jawią się najpiękniejsi, a opuszczając ją, obżarci i znużeni, głoszą, że każda uczta jest wykrocze- niem, a wazyacy błiesiadnicy - łamiącymi prawo?

Cóż mogą o nich rzeo, jak nie to, że stoja równie w blasku słońca, lecz odwrócenie do niego plecami? Widzą jeno własne cienie i cienie te stały się ich prawem. Czyżte nawet słońca jest dla nich, jak nie ciałem zrucającym cienie. A uznawanie praw - poczynianiem się ku ziemi, by na niej cień własny na- kreślić. Lecz was, co kroczycie zwrócenie twarzą ku słońcu - jakież znaki kreślone na ziemi mogą was zatrzymać? Mam, co wędrujecie z wachrem - jakli to drogowakar wyznaczyć moje wasz szlak? Jakż ludzka zwiąże was ustawa, gdy potarcacie swe więzy, nie zrucając ich wszakże u wrót czuyego więzie- nia? Jakiego możecie obawiać się prawa, jeśli w tańcu swoim nieczylnie nie potarcacie łańcuchów? I kćdi was może powołać przed sąd, jeśli zrucciecie odlatet waszą, nie zostawiając jej jednak na niczyjej drodze?

Ludu Orfalezu, możesz sćmić głos bębna, a struny lutni roz- lutnić, lecz któż może rozkazać by skowronek nie śpiewał w błękitach?



Samotność

Przyjaźni

Teraz młodzieniec przemówił - Powiedz mi, A on rzekł - Przyjaciół to własna twoja ciekność, co wypeł- nienie znalazła, co pole, kćdś obał w miłości, a pion- dziś zbierasz z wdzięcznością, co pożywienie twoje i rodzin- ne omyłako, przybiegasz bowiem doń gdyś głodny, spokoju w nim szukasz i schronienia.

Gdy przyjaciel twój wypowiada swą myśl, ty się nie boisz wć- własnej zaprzeczenie znaleźć, ani się oclagasz i potwierdze- niem. A gdy milczy, nie przestajesz wsłuchiwac się sercem w jego serce, gdy wszystkie myśli, pragnienia i nadzieje co- dzia się w przyjaźni bez słów i bez słów dzielisz je z przyja- cielom, w radości cichej i niewiadomej alebie. I nie bole- jesz, gdy masz się z przyjacielem rozstać, bo to co w nim kochasz najbardziej, możesz jasniej widzieć z oddal, jak- ten co górą całą ogarnia wrokiem, kiedy na równinó stanie. Niech przyjaźń nie ma innego celu jak pogiębienie w duchu.

Albowiem miłość, która pragnie czegoś innego aniżeli zglądanie
swojej własnej tajemnicy, nie jest miłością; co zarrucanie
swojej, a ta tylko zbędna i bezwartościowa wylowa.

Niechaj najlepsze w tobie będzie dla przyjaciela twojego. Jeż-
li musi on znać odplawy twych fal; niechże je zna również w
nich najwyższym przypływie. Czynie bowiem jest twój przyja-
ciel, abyś go miał jedynie w godzinie pustki szukać? Idź doń
również i w najpełniejszej życia godzinie. Tęsknotę swoją ma on
wypełniać nie nie pustką. W słodczy przyjaźni niechaj śmiech
szczęry dziękujący i panuje radość. Nowa drobnych szczęzy poranko-
wą światłością ochładza surca.

OPRAWY

Oczek zał prosił - Mów nam

A on kręśli - Pracujesz by otrzymać kroku ziemi, by sprostać
rytmowi Jej duszy. Trwad bowiem w bezczynnie, co stać się obcym
wiednie i lęku, zmię, i jesieni, co wypaść z wielkiego życia
pochodu, co w majestacie i dumnym poddaniu kroczy ku nieskoń-
czoności. Gdy pracujesz, stajesz się filcnią, przez której
serce płynący szepc godzin zmienia się w muzykę. Ktoś z was
chciałby porozość bezmową, niemią wiktliną, gdy wszyscy inne
śpiewa swoją pieśnią?

Powtarzano nam zawsze, iż praca jest przekleństwem, a trud
niebezpieczeństwem. A ja wam powiadam, iż pracując spełniamy cią-
żkę najdalezszego marzenia ziemi, przeznaczoną nam od zarania
dziesięć, gdy się zrodziło ovo marzenia. Gdy trudnił się, a
zawsze milujecie życie prawdziwie, a ukońcał życie przez trud,
co przetrwał w jego najgłębszą tajemnicę.

Lecz jeśli w waszym ciępieniu narozuminy zwiectie męka, a pol-
czywanie ciała kłębą, na czole wam wypisaną, tedy wam mó-
wić, iż tylko w pocie czoła waszego zdolacie zeń zotrzedź ów wy-
pisany znak.

Powiadano wam również, iż życie jest mrokiem, a wy w znużeniu
waszym powtarzacie jak echo co, co niegdyś znużeni byli wy-
rzekli. A ja wam powiadam, iż życie naprawdę jest mrokiem, tyl-
ko gdy mu braknie wewnętrzznego pędu; a ten jest ślepy, które-
mu nie coważysz wiódza, a wszelka wiódza jest przódna bez
pracy, a kładą praca jest pusta i darczna, jeśli w niej nie
ma miłości. Lecz kiedy pracujesz z miłością, ze sobą się łącz-
czysz i z ludźmi, i z Bogiem jednocześnie.

Coż to znaczy pracować z miłością? To odziedziczyć niecią z wlas-
nego serca wysnutą, jakby umiłowanemu młota za szęć poużyć.
A dom ludować z uczuciem serdecznym, jakby ukochany miał w
nim zamieszkanie znaleźć. A w rolę ziarno rzucić z tkliwości
ojczym i plon zbierać z weselem, jakby nawa najdroższy miał
tych plonów skosztować. To rzecz kładą, której dochnie ręka,
czcniem naszymu ducha przepość. I wiódzied, że wszyscy bli-
gostawieni zmięli czuwają z nami pospołu.

Nieraz słyszałem wam mówiących jak we dni: "Ten co rzęśli
w mururca i włagnej duszy kształt w kamionu kuje, szlachut-
nięjący jest, aniżeli ten co ziemię plugiem orze. A ten co
częć na plótno chwytca i podobiznę maluje człowieka, większy
jest od tego co bandaty nam szyje". A ja wam powiadam, iż
we dniu a w pazni jawy południa, iż wiatr nie szumi siodzuz
pieśni dla dębu-olbrzymia, niż dla najdrobniejszej z traw;
i tylko ten jest wielki, który mocą swą miłości zmięnia głos
wiatru w justsze piękniejszą pieśń.

Praca to miłość, która widzialny przybiera kształt. Wład jed-
li nie zdolacie pracować z miłością, a tylko niechęć żywić
i wstęć, tedy zaprawdę lepiej wam wszelką porzuciwszy pra-
cę, usiąść w progu świątyni i wyciągnąć rękę po jałmużnę tych
co się trudzą radośnie. Jeśli bowiem obojętnie wypiekasz chleb,
gorzkie on będzie i zaspokoi tylko pół głodu człowieka. A jeż-
li z narzekaniem winną tłoczysz jagodę, ono jad wsący w wi-
no. I choćbyś jak anioł śpiewał a nie kochał pieśni, tedy
powiadam, iż tylko zniecałesz słuch człowieka na głózy dnia
i na szmery nocy.

ODOMACH

Teraz murasz się zbliża i prosił -
nam powiedz.
A on rzeki - Wpięty, zanim swój dom w murach miała znak-
niacz, wzniesł w wyobraźni szalony na pułapach. Albowiem jak
wiele razy o zmierzchu w dom wchodził, tak wraca w młotkowanie
swoje i ten, zawsze daleki, samotny w sobie wędrowiec. Dom
swoją to jakby swoje obywatelstwo ciała. Nożem w słoncu,
a usypia wśród ciżmy nocnej i nie obywatelstwo bez snów. Czyż
dom twój nie śni, a we śnie czyż nie wychodzi poza mury
mieszka, w gaje i na szczyty wzgórci?

Chciałbym móc zebrać domostwa wasze w dłoni i jak słowca po
lasach je rozrzucić i łąkach. Chciałbym aby jacy stali wam
za drogi, a za ulice ścieżki zielone, abyście chadzali je-
den ku drugiemu poprzez winnice szerokie, w odziewie nasyczo-
nej świetle aromatem ziemi. Lecz to nie może się jeszcze stać.
W lęku swoim pracownicy słońcyli domostwa swoje o wiele za
blisko. A lęk ten nie tak prędko minie. Jeszcze czas jakis
mury miała oddzielać będą waszą oyniaka domowa od waszych pol.

Powiedzcie mi, mieszkańcy Orfalezu, co też wy macie w tych
waszych domostwach? Co tak skrzętnie chronicie za moczny ryg-
lem uzbrojoną bramą? Czy spokój tam akrywacie, cichą wewnątrz-
ną spójność, co wam może waszą objawia? Czy wspomnienia takie
chowacie, owe świetliste, pomiedzy szczytami myśli rozrzucone
tuż? A może piękno, co serca wasze od przedmiotów i drewna
i kamienia ciosenych ku świętej górze unosi?

Powiedzcie mi ludzie - czy macie to wszystko w domach waszych?
Czy jako zadowolenie i pragnienie wygody, które do domu wcią-
gnęła się nieposzczególnie, jak gość co niebawem gospodarzem ma
się stać i panem, a wkrótce zmieni się w poręczycę, co swym
batem z waszych wieńskich tęsknot chociażby uczyli? Wygoda akta-
miana ma dłońmi lecz serce z kamienia. Kółeczko was do snu.

by u wargłowa stanné i z dostojnóstwa ciała srydzić bezlicok-
nie i dwid ze zdrowej zmyślności, otulając je w mięk-
kich puchach. Jakby to były kručhe i lamliwe cacka. Zaprawdę
ładna bygodły gabi piomierń duszy i jej wloty zablifa, ó potem
Amieje się nryducczo wóród pogrzebnej stopy.

Lecz wy, dzinici przestżeni, wy, niespokojni nawet w wpczyn-
ku waszym, wy się w jej widla nie dacie pochycić. Dom wasz
nie będzie kotwicą lecz mierzem. Nja będzie polyskiliwą błonką
co raną ukrywa, ale powieka co oku za ochronę służy. Nie be-
dzicie akladną swych skrzydłał, by się zmiedzić w drzewi, ni
ugłnad kartku i pochylad czoła, by głowa nie rozbił powaly,
ani też wazzymywał oddech szaroki w obawie, by się nie pory-
rowaly i nie prakty ściany. Nie będziecie mieszkać w grobow-
cach, które martwi pobudowali dla żywych.

Dom wasz, choć wspaniały i godny, nie zamknie waszej tajemni-
cy, nie zdławi tęsknoty, to bowiem co bezgraniczne jest w was,
w nieblon mieszka przybytku. Wrota jego to poranna myśln, a
okna to płesń i ciżna nocny.

Przemówił teraz inny człowiek -
nam powiadał,
A on rzeki - Świeca wasza w milczeniu swoim zna ją tajemnicę
dni i tajemnicę nocy, lecz uszy pragną usłyszeć dźwięk tej
mądrości serca. Chciałobyście wiedzieć w słowach co, coście
zawsta znali w umyśle waszym i palce położysz na obnażony
kniećcie swoich marzeń.

Pragnąłbym abyście to mogli uczynić. Ukryta krynica duszy mu-
si w was wytrysnąć i szumiąc ku morzu popłynąć, a skarb wlas-
nej burzennej głębi objawi się waszym oczom. Lecz iadnych nie
szukajcie miar, by ten nieznanony skarb oszacować. Nie staraj-
cie się też zgryntować głębin swej własnej mądrości sondą ani
miłą. Duch wasz bowiem jest oceanem burzliwym i nieluskol-
czonym.

I nie mówcie nigdy: "znalezium prawdę". Powiedziecie raczej:
"znalezium coś prawdziwego". Nio mówcie tużi "odkryłem drogę
duszy" ale raczej: "spotkałem duszę krocząca po moją drodze",
chadza ona bowiem po wazykach drogach. Dusza nie postępuje
po jednej linii, ani też różnie prosto jako trzcinaj rozchy-
la się jak l'ico o niezliczonąj płatków wiojności.

LOZNAZULI

W
S
M
E
N
T

śmierć zawsze pozostanie śmiercią
niezależnie od tego, gdzie się znajduje-
w glinianym kubku czy też rozlana
na podłodze wśród jego pokruszonych
skorup, podobnie jest z marzeniami.

X X X



X X X X
Tęsknotę za domem
Usprawiedliwiam
Pustą lodówką

Z Serji
"do..."

śpiewane marsze
adresuję
na pełne morze

X X X

ha
i
K
U

Z Serji
"do Pana.."

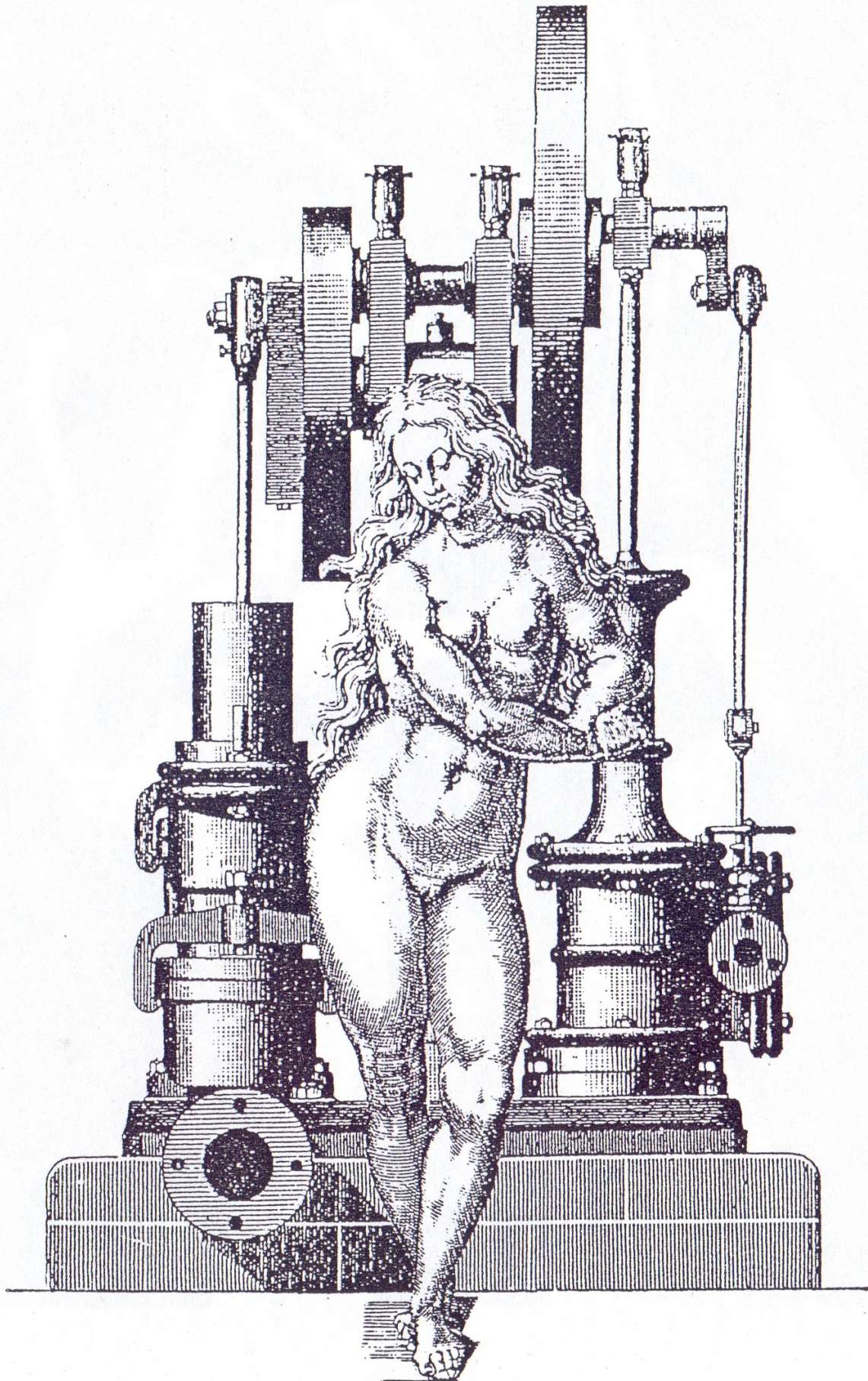
Pozwól umierać
Bez bólu
Dziurawej podłogi

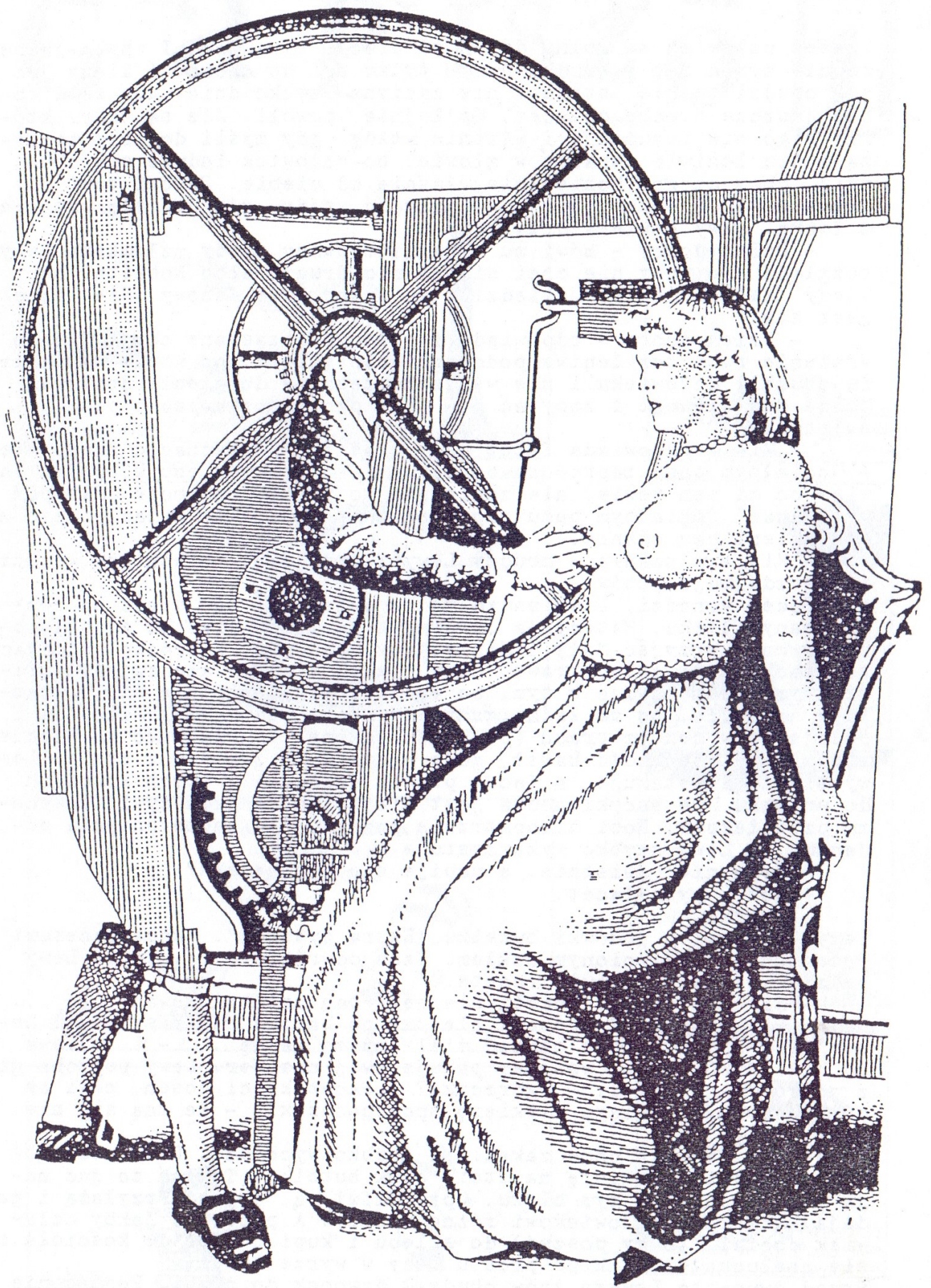
Swiergot rozpiętej ciszy
Obnaże ryciny zieleni
Murzonej w świstach
Wiatru-pana teatru
Liście spoglądają
Twarzą milczącą
Drzewa układają scenerię
Pełną stoickiej parady
Bujają powietrzem
Biją ciepłem
Oblicza strumieni
Oglądam, dziwuję,
Podkładam trawę-śpiewam
Wraz z ptakiem, układam
Nocne pleny polowań
Jestem ręką-spinem obrazu
W kształt ciemnej nocy.

OKORCZEGE!









M a r k e T i N G

Czasem człowiek ma wolny dzień od pracy. bywa tak. I chyba jasne. że nie zrywa się w środku nocy. tylko śpi do oporu. A kiedy już się obudzi to nie wstaje i nie zaczyna szybko dnia. ale woli sobie jeszcze trochę poleżeć. Sprkojnie. powoli. Ale są tacy. którzy tego nie rozumieją i właśnie wtedy. gdy myśli dopiero zaczynają się leniwie obracać w głowie. bo człowiek ledwie się obudził. chcą czegoś koniecznie właśnie od ciebie. Dzwoni taki do drzwi o 11.00. jakby nie mógł przyjść wtedy. gdy już się wstanie z łóżka. Lewy otwiera drzwi i :

- Dzień dobry - mówi mu wygarniturowany młody człowiek. Lewy rozgląda się. czy nie czai się za nim drugi. albo kobieta. bo wtedy jest jasne. że odwiedzili go świadkowie Jehowy. Nie. facet jest sam.

- Dzień dobry - odpowiada i przeciera zaspane oczy. Niezłe wrażenie robi też leniwe podciągnięcie slipek, bo wtedy taki wie. że obudził człowieka i nie wszystko jeszcze do ciebie dociera. Można też ziewnąć i zapytać : - Chce pan porozmawiać o piśmie świętym?

- Nie - odpowiada facet cały czas się uśmiechając niepewnie. - Chciałbym panu zaproponować zakup 12-o tomowej encyklopedii. Ja wiem co mi pan powie. ale zanim pan to powie. czy może mnie pan wysłuchać? Chciałbym panu zaprezentować bliżej tą książkę, być może zmieni pan zdanie.

- Nie mam zdania - mruczy Lewy i dodaje : - niech pan wejdzie i nie zdejmuj butów.

Facet wchodzi. Lewy sadza go na fotelu. a sam siada na rozgrzebanym łóżku. Patrzy na zegarek i uśmiecha się. bo za pół godziny mają przyjść Mały i Jasio, aby wspólnie. w trójkę, oduwać się narkomanii paląc trawę. Lewy nie ma trawki. ale ma wódkę. Facet tymczasem nawija o tym, że encyklopedia świetnie się prezentuje na półce. bo ma ładne grzbiety, mówi ile zajmuje miejsca i podaje to w centymetrach (pokazuje rękoma tą wielkość na blacie stołu). podaje ilość haseł, gada o systemie zapisów i cenie. Lewy siedzi i potakuje. a facet prawie dochodzi w swych wywodach do wniosku. że encyklopedia jest niezbędna każdemu cywilizowanemu człowiekowi. Robi nieopatrznie przerwę dla zaczerpnięcia oddechu. co Lewy szybko wykorzystuje :

- Świetnie. świetnie. a napije się pan bączka?

- Co? - pyta facet.

- Bączka.

Lewy przynosi z lodówki butelkę "Extra żytniej". Macha facetowi przed nosem oszronionym szkłem. Czas odwrócić rolę. Teraz Lewy będzie usiłował namówić faceta.

- Nie. dziękuje. Jeżeli nie jest pan zainteresowany. to ...

- Dlaczego nie? Jestem. Ale tak po bączku nie zaszkodzi. Lepiej się myśli. a pan będzie miał lepszą gadkę ... - i rozlewa do kieliszków. Facet wstaje. pakuje swój nesesor. Lewy popycha go z powrotem na fotel. - Ogóreczka? - Facet kręci nosem. mówi że pracuje. Lewy wciąga siekierę spod poduszki. - Ze mną się nie napijesz?

Facet wypija. nie chce zakąsić i szybko wychodzi. Lewy uśmiecha się i kładzie siekierę na stole obok butelki. Takich to już mają wszyscy dość w tym bloku. Upierdliwi są. ot co. Przyłażą i gadają. wciskają człowiekowi różne rzeczy. A przecież jakby człowiek chciał. to by poszedł do sklepu i kupił, albo do kościoła i się nasłuchał. A tak po prostu leży w wyrze i śpi.

Przed dwunastą Lewego znów obudził dzwonek do drzwi. Pospać nie dadzą. Idzie otworzyć drzwi. A co się będzie wstydził - idzie w samych slipach. Jest zgrabny, brzucha się jeszcze nie dorobił, kolczyki wiszą w sutkach - sobie się podoba i uważa, że jest se-

xi. Tym razem to Mały i Jasio.

- Cześć - mówią.

- Wchodźcie.- Lewy składa pościel, wstawia wodę na kawę, myje kieliszki i znów rozstawia je na blacie.

- Co to? - Mały pokazuje na siekiere.

- A był tu taki jeden od encyklopedii. Nie chciał ze mną pić wódki, to mu tłumaczyłem, że trzeba. Chyba chory jakiś, czy co. Nie wiem, czy nie odkazić po nim tego fotela.

Jasio szybko przenosi się na kanapę, by nie siedzieć na feralnym miejscu. - Jeszcze i mnie się udzieli - wyjaśnia. Wypijają po kieliszku. Mały nabija fajkę. Lewy przynosi kawę. Piją, palą, słuchają muzyki i nic się właściwie nie dzieje. Ot, taki zwykły ranek.

Dymy po pierwszej fajce jeszcze nie opadły, gdy odezwał się dzwonek do drzwi. Lewy otworzył.

- Dzień dobry - tym razem to wygarniturowana para.

- Proszę - Lewy wyciąga rękę zapraszając ich do środka. Są zdziwieni, ale wchodzą. Lewy ocenia, że ci to już z pewnością będą chcieli porozmawiać o piśmie świętym. Wchodzą do pokoju. Lewy sadza ich w fotelach przy stole. Na blacie butelka "Extra żytniej" nadpite kawy, kieliszki, fajka i siekiera.

- Chcielibyśmy porozmawiać o piśmie świętym.

Jasio ma napad niepożamowanego śmiechu. Ryczy, skręca się na kanapie. rechocze. Mały patrzy na przybyszów kamiennym wzrokiem.

- Nie ma sprawy. - I już ich słuchają. Chłopak nawija. Mały niby to słuchając z zainteresowaniem przysuwa się na kanapie do stołu. Stuka kobietę w ramię i gestykulując pyta, czy może jej nałać do jednego z kieliszków wódki.

- Mnie się wydaje, że w piśmie świętym powinno być więcej obrazków i zdjęć - wbija im się w słowo Jasio. Chłopak coś tam duka. Mały rozlewa do kieliszków i pokazując na jeden z nich mówi do niego: - Bierz. - Ten zdziwiony kręci głowę. Lewy odpala fajkę, podaje Małemu. On daje mu kieliszek wódki. Kłębki dymu płyną w powietrze. Goście czują, że to nie tytuł. patrzą na siebie, mrugają oczami.

- Czy panowie naprawdę chcą rozmawiać o piśmie świętym? ...
Wszyscy mówią, że chętnie, czemu nie. Ale może się napijemy?

- Cóż, skoro tak, to może są panowie zainteresowani zakupem encyklopedii ...

- Co pan, co pan! - Jasio odsuwa się od nich z odrazą. Dziewczyna mówi do Małego:

- Ale pozwólcie nam coś więcej o niej opowiedzieć ...

- Jak to, świadkowie Jehowy, a tu nagle encyklopedia? To może bączka? - odpowiada Mały.

- Nie, nie, Jesteśmy świadkami Jehowy, a żyjemy z tych encyklopedii.

- Jeśli nie bączka, to może chmurkę? - Mały nalega. - W piśmie nie ma nic o konopiach ...

Para ściska w rękach numery "Strażnicy". Ona sięga po przyniesiony w siatce tom encyklopedii, Mały sięga po siekiere, Jasio po fajkę. Lewy nalewa do pustych kieliszków. Mały staje nad stołem z siekiere.

- Ogóreczka?

Jasio pociąga dym z fajki i robi zeza.

- Nie, nie - goście są konsekwentni. Kieliszki stoją przed nimi nietknięte, dziwny dym z fajki miesza im myśli. Gospodarze chyba nie chcą im zrobić nic złego, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Lewy wstaje: - Zrobimy coś do jedzenia - i niepewnym krokiem wychodzi do kuchni. Jasio i Mały patrzą na siebie, po czym chwytają kieliszki i szybko wypijają.

- Skoro panów nie interesuje ani pismo święte, ani encyklopedia ...

- Jak to nie! - oburza się Mały. - Powiedz lepiej, co było z tym diabłem.

Jasio rozlewa resztkę wódki do kieliszków : - A skoro państwa nie interesuje ani wódka, ani marihuana ... - i siada ze swoim kieliszkiem na kanapie. Posyła całusy chłopakowi, ten czerwieni się, czym jeszcze bardziej prowokuje Jasia. Ten macha jęzorem, mruga znacząco oczami.

- My chyba już pójdziemy - chłopak wstaje i bierze kobietę za rękę.

- E, nie, zostańcie jeszcze - podrywa się z siekierą w rękę Mały.

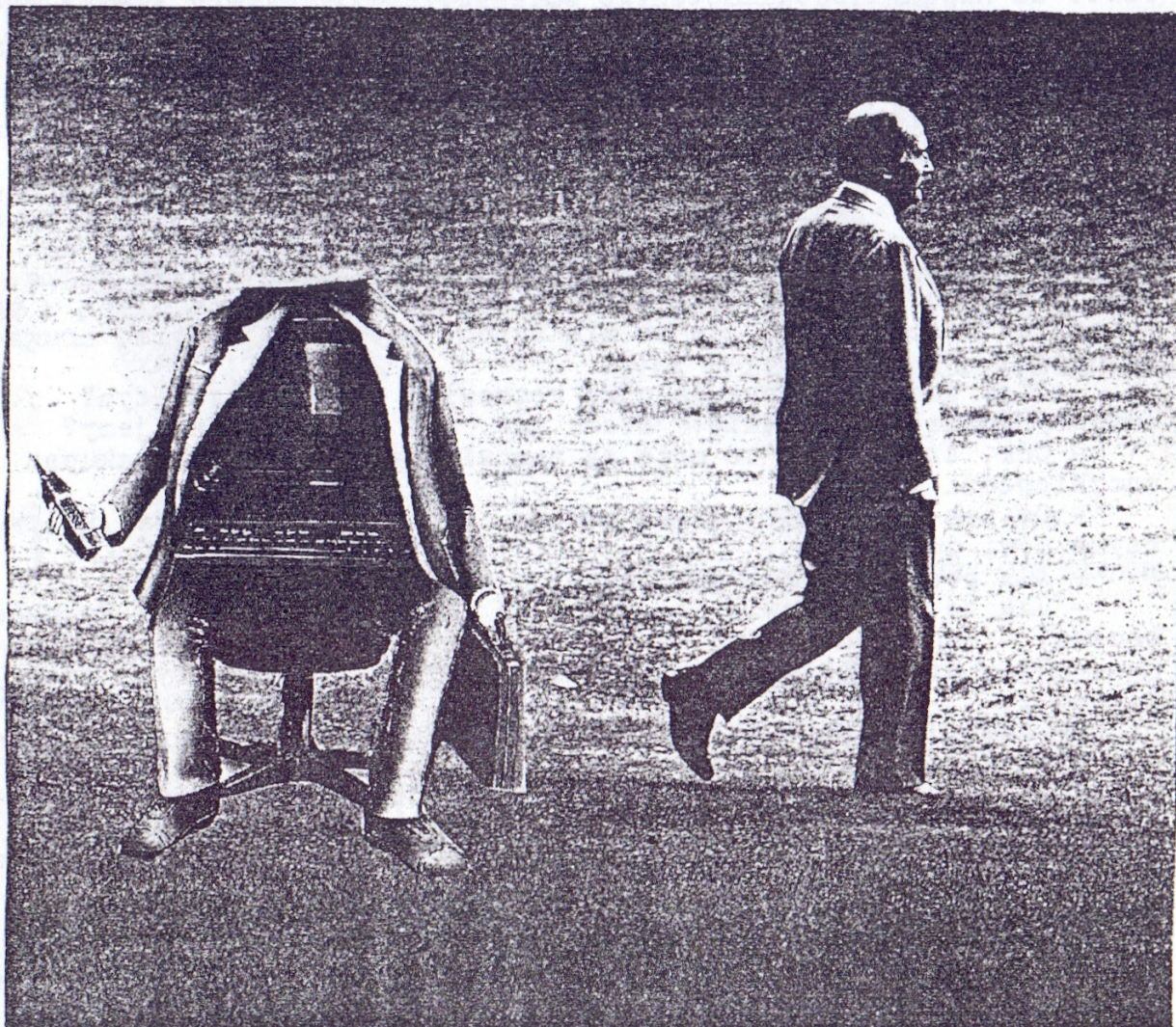
- Nie, śpieszy nam się.

Wychodzą. Oglądają się, czy Mały nie rusza za nimi. Trzaskają za sobą drzwiami, Lewy słysząc to wychodzi z kuchni.

- Czemuście ich wygonili? Nikt mnie nie odwiedza tak często jak oni. Tylko oni chcą jeszcze ze mną rozmawiać.

- Powiedzieli, że idą do domu pooglądać telewizję - wyjaśnia Jasio.

- Aaa - Lewy macha ręką. - Niech idą. Jacyś nudni byli. tylko pismo święte i encyklopedia ...



kaczeńcem zółtym porośniętą trzaskawisk
ust, które z obcych przychodzi Legowisk

to nie ten sam nocą pocałunki
i nie ten sam świat przed blaskiem jutrzeńki

nie fatwo przebrnąć jest przez cieni chaszce
a świat daleko przepadł w niebie
kiedy się ziemia rozstępuje nagle

one śpiewały jednostajnym tonem
wygrywał skocznie uwertury biesów

by zadać
lekkiej zębir na strunach ich wiosów
Rozkosz swyn spragnionym
Gdy noc nastaje i wzeszedł już księżyc

Elfy o świcie
Pojawiające się
to tu
to tam

Elfy na leśnej drodze
Przemykające przed
Nami
By rozwiać się
Pomiędzy drzewami

Odwiedzą nas jutro
W naszym śnie
Pełnym gwiazd

A księżyc
Uśmiechając się
Rozplywa się
W czerwienu świtu

nA Z^w I j m y r z E C Z Y

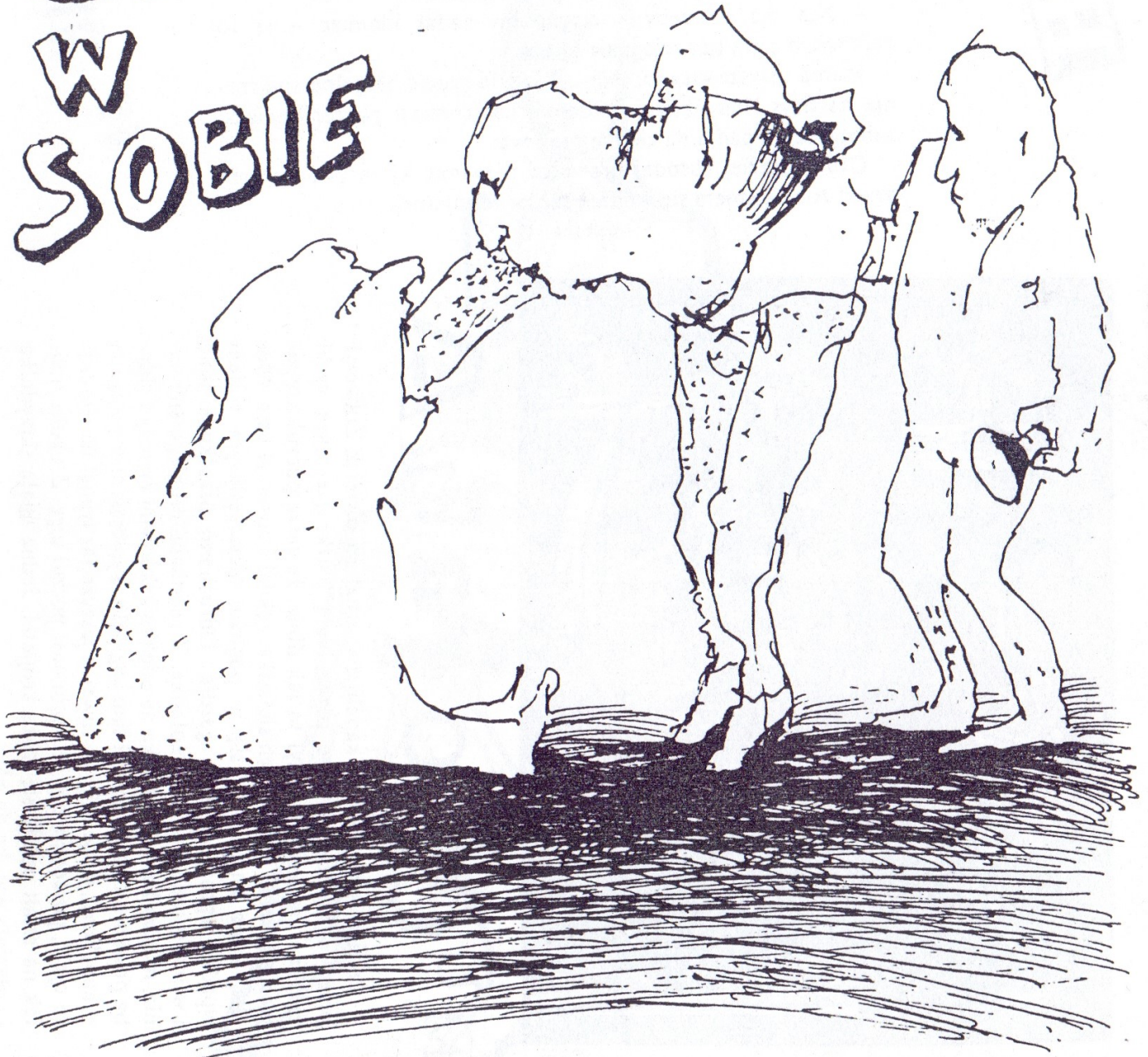
Może będę mówił jak mnich taoistyczny, ale tak trzeba. To, że wrogiem wolności jest władza wie każdy anarchista, ale czym jest władza? Dla mnie jest to każdy przypadek kontrolowania duszy i ciała wszystkich istot oraz rzeczy z ich otoczenia, a więc nie tylko rządy i prawa, lecz także własność i wyobrażenia, zaś przymus może kryć się za każdą formą panowania. O władzy w tradycyjnym znaczeniu tego słowa nie muszę chyba tu mówić, chciałbym zająć się za to własnością, zyskiem i przymusem ekonomicznym z jednej oraz kulturą, wiarą i przymusem moralnym z drugiej strony, bo często nie postrzega się ich jako form panowania /przynajmniej dopóty, dopóki na ich straży nie stanie naga przemoc/. Tymczasem prawo własności niczym nie różni się od innych praw na straży których stoi policja i władza państwowa, łatwo się o tym przekonać sięgając po 'cudze'. Dążenie do zysku jest dążeniem do kontrolowania gospodarki, tak jak administrowanie służy kontrolowaniu życia społecznego. Nie idzie mi o zarabianie kasy w celu zaspokojenia - choćby i najbardziej wyrafinowanych - potrzeb, ale w celu inwestowania w ziemię, fabryki czy papiery wartościowe w celu zdobycia kasy na inwestowanie... a jutro cały świat. Owocem tego są wielkie korporacje, ale i na najniższym poziomie pozwala to kupować cudzą pracę, przy czym libertariańską utopią jest wiara w dobrowolność umów o pracę, o wymianę - współpracę na warunkach korzystnych dla obu stron. Bywa i tak, że człowiek może sobie wybierać oferty pracy, ale nie skorzystać z żadnej, wybierając zasiłek dla bezrobotnych, lub - o zgrozo! - strajkiem wymusić korzystniejsze dla siebie warunki. Na ogół jednak nie jest tak dobrze i jest się zmuszonym do przyjęcia warunków właściciela środków produkcji, decyduje zaś o tym tzw. przymus ekonomiczny - bieda plus własność: człowiek musi z czegoś żyć, a nie może ot tak wziąć sobie dajmy na to kawałek ziemi i zacząć go uprawiać - nie może, bo zabrania mu tego czyjeś prawo własności, przed którym nie ma ucieczki - wszystko jest czyjąś własnością, nawet jeśli ten ktoś nie tylko tego nie używa, ale i nigdy tego nie widział, zaś to, czego jeszcze nie zdążono sprywatyzować, zostało jednorazowo zawłaszczone przez państwo /ostatnio dzieli się już nawet Antarktydę/. I nie jest dla mnie zadnym argumentem stwierdzenie, że prawo własności chroni nas przed wojną wszystkich ze wszystkimi o wszystko, bo po pierwsze - to samo mówi się o władzy w ogóle i nawet jeśli to prawda, to raczej należałoby się zastanowić czy wolność jest dobrym lekiem na wszystko, a nie nazywać jedną z form panowania, jaką jest własność, stróżem wolności; po drugie zaś - do położenia kresu wojnie wystarczyłoby w miejsce własności - użytkowanie /rzeczy nieużywane byłyby 'niczyje', co pozwoliłoby je zużytkować potrzebującym/. W obecnej sytuacji skazani jesteśmy na właścicieli a wybór warunków przypomina pytanie gliny: wolisz oberwać białą czy czarną patkę, raz czy 10 razy...? a nie: oberwać czy nie! To nie ma nic wspólnego z wolnością. Inną formą panowania jest kultura - stopień opanowania człowieka przez społeczeństwo, szczególnie zaś jego elitę, poprzez narzucenie mu pewnej wizji świata i wynikających zeń norm postępowania przy pomocy propagandy czy reklamy oraz cenzury, czyli nie dopuszczenia do głosu wizji konkurencyjnych. Sankcją za odrzucenie kultury czy mody może być kara w formie przemocy /ze strony władz czy fanatyków / lub przymusu moralnego / można zaszczyć człowieka nie wygadzając mu krzywdy fizycznej/. Ograniczony dostęp do informacji /któż z nas jest w stanie myśleć stale o wszystkim/ i ciągłe pranie mózgu przez - coraz bardziej wszechobecne - media sprawiają, że mało kto potrafi się temu oprzeć, być stale otwartym i myśleć samodzielnie. Na ogół myśli na nas telewizor, kościoły, partie itp. inżynierowie dusz czy spece od reklamy. Ktoś powie, że można temu nie ulegać - i owszem, może dlatego tak wielu szuka wolności w tamtym, wewnętrznym świecie - lecz można nie ulegać także prawu własności i wszelkim innym prawom, a nawet otwartej przemocy - walcząc z nimi, lub uchylając się, odrzucając przywiązanie do pragnień, lęków i wyobrażeń - jak taoistyczni mnisi.

p o i m i e n i u

Ds

Nie jest wolny ktoś, kto jest przywiązany do strupa własności, dogmatów i wyobrażeń, lęków i pragnień, nawet wówczas, gdy sam sobą rządzi czy narzuca swą wolę innym. Wszystko to należy do świata władzy /ulegania, buntowania się i sprawowania jej/ a nie wolności i być może jest tak, że większości ludzi w tej czy innej formie władza jest potrzebna by żyć w tym, zewnętrznym świecie, tylko po co zamiast mówić o tym - mówią o wolności ?! Być może jest tak, że ogół jest jak dzieci, musi być prowadzony za rączkę i żyć cudzym kosztem a naprawdę wolni są bardzo nieliczni i jedyne o czym możemy marzyć to nie zatrzymywanie w owym zniewoleniu tych, którzy dojrzenie /do/ tego mają za sobą, bez narzucania wolności tym, którzy przed nią uciekają, by nie bronili się /władzy. !

SZUKAJCIE W SOBIE



Opowiem wam historię, nie byle jaką bo prawdziwą. Rzecz działa się w moim domu dwa może trzy dni temu.

Kiedy kucnąłem przed półką segmentu, by sięgnąć po damski perfum "Ninna Ricci" z chęcią delikatnego zwilżenia skóry za uszami, poczułem na sobie spojrzenie matki. Obawiając się opatrzonego zrozumienia mojego gestu zacząłem, na wszelki wypadek, tłumaczyć się fałszywie.

- Muszę ładnie pachnąć, ponieważ wybieram się na spotkanie z dziewczyną - wyplułem.

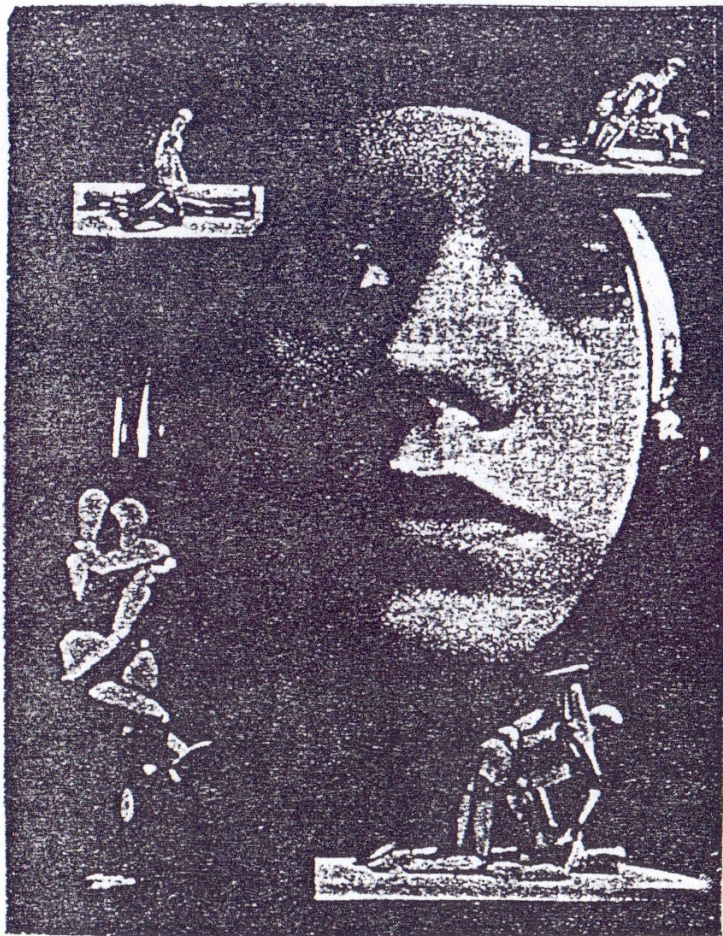
Pech chciał, kucając, wypiąłem na widok matki dziurawe skarpetki. Rzecz jasna nie mogło ująć to jej uwadze, dlatego natychmiast usłyszałem:

- Zmień skarpetki! Chyba nie masz zamiaru wyjść w takich dziurawych?! - wygarnęła uniesionym głosem.

- Nie ma potrzeby - ciągnąłem nadal kłamiąc - ja to załatwiam z nią bez zciągania butów.

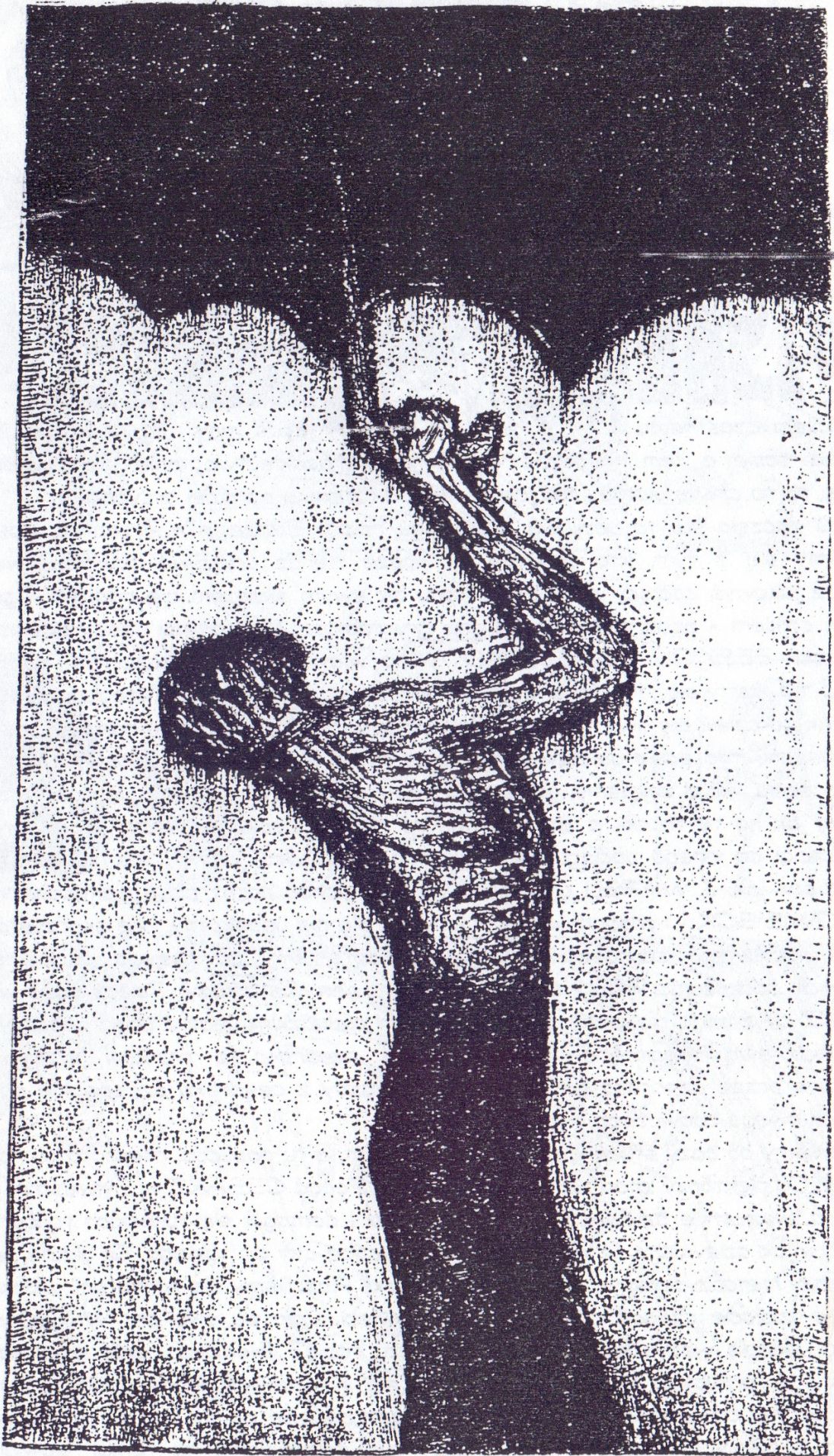
Mama usłyszawszy to, ledwo zdążyła rzucić błagalne spojrzenie na fizys Najświętszej Panienci, natychmiast poczerwieniała, zabułgotała i padła na ziemię nieżywa.

Oto do jakiej zbrodni prowadzi niewinne kłamstwo i strach przed znalezieniem się w mniejszości seksualnej.



MUCHOŁAPKA

Pewien mężczyzna w kapeluszu jechał na rowerze. Zobaczył przed sobą prześwitujące przez białą bluzkę sterczące cyci zgrabnej panienci. Przeżył to tak silnie, że zaraz poczuł krępujące gniesienie w okolicach siodełka. Jęknął i otworzył usta. Mucha, która znajdowała się w pobliżu, nieszcześnie trafem wpadła wprost do jego gardła. Odruchowo przełknął ślinę i w ten sposób trafiła do żołądka. Z resztkami drugiego śniadania, między kawałkami jajka na miękko i skórkami żyniowego chleba powędrowała do jelita i tam zaginęła. Tymczasem mężczyzna w kapeluszu, jadąc dalej na rowerze jeszcze raz łypnął na sterczące cyci, poczerwieniał i natychmiast poczuł ulgę. Z okolic majtek na asfalt polały się białe kropelki. Jedna miała skrzydełka i poleciała wysoko do góry.





Wróciłem czas temu **ni Z Ne 9** jakoś mnie tak nocką naszło do popisania sobie o tem. Podczas wędrówki wierszoklectwo mnie jakoś kleiło się barziej, bo to chwile ulotne i tak jakoś mnie ta foremka bardziej przypasuje.

Zrazu zaczęło się to popijawą w pociągu relacji Szczecin - Przemyśl, gdzie to brataliśmy się z tym, kto otwarty na nasze nieraz uciążliwe towarzystwo. To gołępiarz jakowys abający o to by kartonu ze swym skarbem nie podusić - gołębie corkiem, całkiem - zaobrączkowane i gru, gru robiące. Wspominał czasy odsiadek w więzieniach BESKIDU i BIESZCZAD. Wino wlewał z namaszczeniem, co chwila sięgając do portwela, tym nas z lekka obrażając. To jakiś tam niegłupio gadający podróżnik co dzielił się swymi życia doświadczeniami. Dał się popić i nam. W przejściu rozpebeszeni, miło sobie baletowaliśmy, przy okazji wciągając co zabawy kontrolera. Ze zmęczenia i kibel zajęliśmy, gdzie to barek się zaczął znajdować. Ja dość trzeźwy też mam jak na te trunki, a znajomkowie to różnie. Jeden na stacji jakiejś wylazł i wejść cnciał do innego pociągu. Wyciągali my nieboraka, który i tak za bardzo nie wieział co i jak. Z WARSU chłopaków wywalili, ponoć narozrabiali niemitosiernie. W TARNOWIE SOK - i proponowali nam izbę jak się nie uspokoimy. Nie skorzystaliśmy z dość nachalnego zaproszenia. Wreszcie dotarliśmy do miejsca gdzieśmy się poumawiali, podróżując PKS - em, w którym to sen nas zmożył. Rzecz dość ważna, CESARZ był z nami, nie z chęci rządu nad nami maluczkimi, lecz z chęci zaszczylenia wszystkich swą obecnością. Postura dosyć cesarska, z trunków jedynie wino przeżykane przez cesarską gardziel i gadanie jakby z cesarska szczególnie po kilku ficszkach owego zbawczego płynu.

Dotarliśmy do bazy studenckiej czy czegoś tam, a tu posucha, mlernota no i bojaźń jakowaś. Co niektórzy znani już tu baletmistrze. Ponoć CESARZ w Sylwestra, pijany w sztorc, wszystkie dziewczeczki za szmaty brał i domagał się tureckich tancerek, a dziewuchy jak dziewuchy, w kwik i że zgwałcić chce czy co takiego. Oj bidulki pewnie nie wyczuły metafizycznej w tem zgola metaforki. Rozbiliśmy się namiotami z boku, nie myśląc o zapłacie czegoś co i tak pustką świeci. Łało ze dwa dni. Wykupiliśmy w pobliskim sklepie wszystkie wina, a co było tu robić? Siedzieć i gnąć na deszczu? WOPR - y przybyły, studenci poskarżyli się na niewygodnych gości i groźenie paluszkami my od tutejszej władzy dostaliśmy ostrzeżenie co by się nie spotykać. W tym przyznaliśmy im rację, a mnie wzięły alko-rozmyślania na temat słowiańskiej gościnności.

Wyprawę malutką zrobiliśmy na niedaleko znajdujące się przejście graniczne coby popić tańszego piwka i jakoweś zapasy porobić. Skrótem zachciało się iść i po chwili nie wiedzieliśmy czy to już my przeszli tą kreskę, co na mapach rysują czy też nie. Mokrzy, w błocku i spoceni doszliśmy do owego przejścia. Tam zagościliśmy w przydrożnej knajpie po drugiej stronie i dopetrniliśmy knajpianego losu.

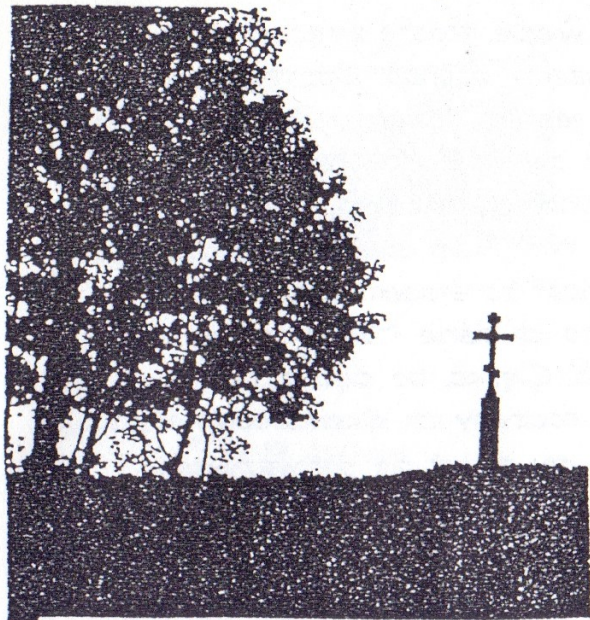
Stawacja to koszarowe dość państwko. Czasu swego, kiedy to wybrałem się z DEMONEM po towar złocistego napoju do wsi leżącej z 5 km od granicy, idziemy z dość ciężkim tobodem, a tu jak nie zagrzmi i zacharczy. Słyszemy gadanie jakies przez megafony, myślimy kurna, że do nas, przecie strefa przygraniczna. Przy czym włącza się muza marszowa dętej orkiestry i znów co gadają. Okazało się, że wieś zmegafonizowana i ogłoszenia parafialne tam zapodają. Ostupieliśmy jak nigdy, wszyscy to słyszeć muszą gdziekolwiek są, bo niesie się to po dolinie jak nie wiem co.



No wreszcie ruszyliśmy na wędrówkę, bo już mnie tam dusiło. Ciepetko się porobiło, zcświergoiły ptice i właściwie tyje z tego. Przeszliśmy może w dzień ten z trzy kilometry, a tu knajpa miła z piwkiem i winem tanim no i co do zjedzenia. Śpiewy nawet z nas ulatywać poczęły przyciągając tym miejscowych bywalców lokalu. Zaczęto nam stawiać, to winko, a jakem się skończyło od dziadów naszych siowian miocy pitne, a jak i to, to szampan się polat. Ja tu wysiadłem, bo szamponu siurawego nie lubię za bardzo. Szarzeń się poczęło, czos nocleg jakiś znaleźć. ŻWIR po rowach kończył niesiony pewnie przez tobót. Broctwo rozśpiewane go wyciągało, ja za to znalazłem polankę niedaleko potoku by rozbić namioty. No i nyny. Nazajutrz wędrówka się wreszcie zaczęła. Część jeszcze na kacu z lekka przypadłości te rozchodzili. W dupę jebaną skończyła się ścieżka, pod górę przez las w trzy dupy zgubiliśmy szlak. Co tam zresztą i idziemy dalej przed siebie. Krzaki jakoweś, trawa po pachy, żmije pełzające gdzieś, ale dziarsko walimy dalej. Podziwiali my to wszystko jak nie wiem, w milczeniu, straszno i cudnie. Przystawaliśmy to tu to tam. Tak wolnie my i nie za bardzo interesowało nas gdzie jesteśmy. Po takim cykaniu, bzykaniu, szeleszczeniu wszystkiego, wyszliśmy na drogę jakąś. Ponoć w tę stronę szliśmy. Z kluchą w gębach, marząc o piwie, dotarliśmy pod sklep. Ze dwie godzinki oczekiwania umiiliśmy sobie moczeniem nóg w potoku, jedzeniem i głupkowatymi żartami. Posiiliśmy się oczekiwany napojem i w drogę. Idziemy, a tu w oddali PGR jakowys. Przy drodze zaraz pasą się konie. Nie zauważyliśmy, iż ten większy na łańcuchu, a drugi, pewnie klacz, chowa się za niego. Kompania w zdrowym oddaleniu, a ja na utamek sekundy przed wydarzeniem czuję, że coś nie tak. Krok w bok. Za późno. Koń przeszedł bokiem, szybko się odwrócił zadem i jeb z tylnych kopyt w mą nogę. Poleciałem jak zapalka, zamroczyło mnie, plecak mnie przeważał i gleba. Wyciągnęli mnie, bo koń poddenerwowany jeszcze wymachiwał kopytami. Szczęśliwie w nogę oberwałem, a nie

w głowę czy klatę, bo po mnie by było. Szokulec trzyma mnie do wieczora. Reszta obiecuje zrzucić napalm na owe zabudowania i uchodzimy czym prędzej. Mi to mija, nocka piękna, gwiazdy jak na dłoni, potok szumi leniwie, ognisko otacza nas ciepłym płomieni. Na kiju kielbacha się smaży pyszna. Przed oczami w płomieniach staje nam wszechświat barw. Myśli uciekają gdzieś w drogi mlecznej szlak.

Rankiem sprawdzam nogę. Powyżej kolana siniak wielkości dłoni w przeplatających się barwach czerwieni, fioletu i błękitu. Trochę boli przy zginaniu. Nogę trza rozejść. Jeszcze w sklepie znane nam wino CAR, browary jakoweś no I w drogę. Tu nas nieźle przypiekło, odstawili my ze ŻWIREM pozostałą ówójkę, leje się żar z nieba, we łbie się kisi. Ufl Odpoczynek. Trza popić piwkiem. Dochodzi DEMON z CESARZEM nieźle podpici. Po drodze obalili całą prawie półtoralitrową flaszkę wina. Kończymy resztę, śpiewamy, CESARZ tańczy swym cielskiem jak baletnica, DEMON kładzie się na drodze i ledwo dycha. Palma nam odbija, idziemy dalej. Większa miejscowość. Dwa sklepy i dwie knajpy. Opróżnimy piwka i winka, po czym zostajemy zaproszeni przez szefową bazy studenckiej na jej urodziny. Dowiadujemy się, iż znane są coniektórych wyczyny z tej feralnej tamtejszej bazy. Ponoć postrach i zakata. Z resztą opowieści pięta woda po kisielu. Towarzystwo widać zna się i nowinki sobie przekazuje. Impreza - żenada, że nie wiem co. Z początku dużo piwka, śpiewy, żarty. To pierwsze szybko się kończy. Bazowa obraża się na harcerzy, że gitary nie chcą pożyczyć, bo bytoby różniej i melodyjniej. DEMON zasypia w objęciach słupa podtrzymującego płachtę wielkiego namiotu. Ja rezygnuję z "zabawy", zapalam sobie świeczkę przed namiotem, sphywa ze mnie wszystko. Zapisuję moc, dziwy różniaste, crwile wędrówek tych w przestrzeni krajobrazu i mnie samego. CESARZ chrapie sobie donośnie. Ponoć pojawia się gitara. ŻWIR ma już dość i domaga się by śpiewano to co on zna, bo jak nie to kogoś poturbuje, a gitarę przerobi na opał. Mnie to wszystko wali, jakoś się wszystko kończy i idziemy spać. Nie chce mi się, dziecią barazo samowolnie wyobraźnia. Deszcz zaczyna padać, widać to już tak będzie, trochę słoneczka, trochę chmurzenia. Rankiem ruszamy na wiochę z całym majdanem. Gnieździmy się w knajpie LEŚNA. Multum miejscowego proletariatu. Kufel i winko CAR. O pijemy tak chyba z pięć godzin. Zaznajamiamy się, jak to bywa przy takich okazjach z miejscowymi moczymordami. Podsuszony dziadek, narwany jak diabli, klnie jak szewc, coś tam gada. Za barazo nie rozumiem jego bełkotu, tylko, że on i ja to piździelce jakich mało. Głowę kapusty wielką jak łeb DEMON zakupił i konsumujemy. CESARZ w ferworze gadania wywija nożem. Na to miejscowy pijaczyna obraża się, iż oni tu grzecznie, a my na nich z kosą. Jakoś to prostujemy, tłumacząc, że kosa to do chleba, a nie na ludzi. Kobita zza baru raczy nas opowieściami jak to kiedyś lud się bawił. To ci folklor na przeźroczyście i na czerwono. Z tęsknotą to gada, ale nadzieją, że to jeszcze żywe. Biorę to do naszego rozbawionego bractwa. Późno się porobiło i postanawiamy podjechać ostatnim już autobusem. Kierowca zgadza się nas podwieźć trochę dalej do jakiegoś PGR - u, owszem ze wszystkimi pasażerami. Dalej to już idziemy, szaro się robi, szukam wolnych wiat, co by nie musieć rozbijać namiotów. Nici z tego, górale teraz wypasają owce i wiaty są zajęte. CESARZ zalany w trupa kolebie się swym cielskiem po wyboistej drodze. Jak wiadomo po jabcokach sra się niemilosierdzie no I naciska go nagle. Rzuca plecak, zdejmuje gacie i wypina swą cesarską dupę na środku drogi. Jakoś go spycha nad rów i bęc w niego. DEMON - świadek owego wydarzenia, zaskoczony gwałtownością przekomicznej sytuacji, rechocze.



Ja mam zwidy jakoweś po drodze.

To jakiś bles mi na drogę występuje i
rzuca kamieniem w kałużę, to go podnosi
i wyciąga w mą stronę. Zresztą sam już nie
wiem. Pluję, przeklinam i obchodzę.

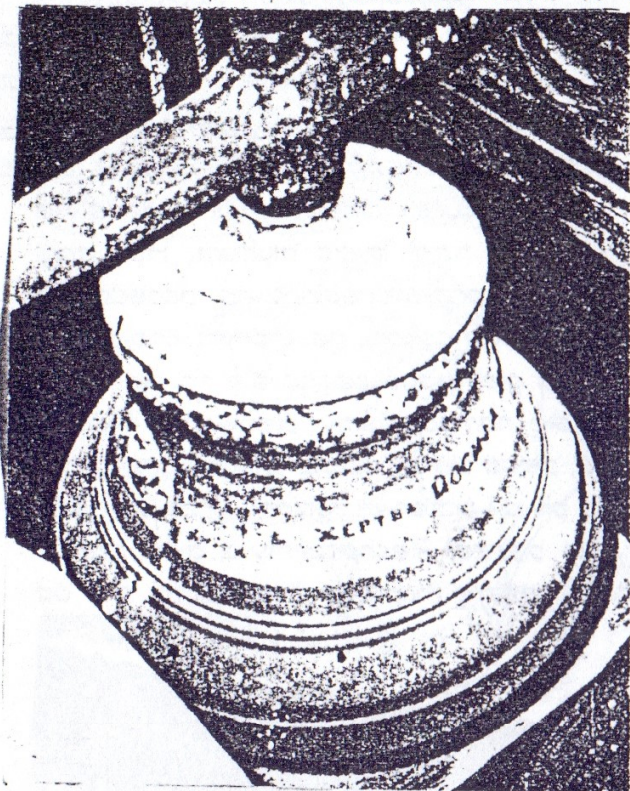
Zwidy znikają, ale we łbie mi się wszystko
wywraca. Jeszcze chwila to ciemności nas zakryją.
Rozbijamy się już po ciemku w świetle świeczki,
pobok drogi i potoku, by nam do snu szumią.
Wspominamy ze śmiechem dzień dzisiejszy, ja nie
wspominam o zjawie - lichu nie śpi. CESARZ gada
przez sen i odpowiada na pytania, co nas bardziej
jeszcze rozbawia. Zасыpiamy wyczerpani śmiechem.

Na drugi dzień wstajemy, szybko się zwijamy, gdyż zaczyna lać. Chowamy się
przed ulewą pod dachem PTTK - u, czy czegoś tam. Żurek ciepłutki, kurna piwa nie
ma, aż szlag trafia. Ulewa ustaje, ruszamy się, bo tutaj była multum. Hot dogi
wpierdalają i śpiewają religijne piosenki. Po drodze przystaneczki na odczedzenie
ziemniaczków. Płuczemy ręce w zagłębieniu kamiennego cokotu, na którym krzyż stał
kiedys. Wspinamy się pod górę, CESARZ zalicza glebę poślizgując się na blocku w
swych dresowych różowych spodniach. Trochę się namachaliśmy, ale warto. Widok
wszystkiego naokoło oszałamiający. Droga zryta, pełna błota i kałuż. Stońce przypieka
teraz, w gardle posucha. ŻWIR przyznaje się do piwa i przerwę robimy. Trza by nabić
co do fajki i po kilku machach ziółek głupawa nas bierze. Rechoczemy z byle czego.
CESARZ śpiewa i bawi się nożem. Zajadam resztę kapusty i oddalam się od



kompaniji, która to powoduje ból brzucha od śmiechu. Schodzimy w dół, zwidy nieźle
po drodze. To klatka utworzona z gałęzi rusza się tajemniczo na wietrze, to dziwy
jakieś z kładką nad potokiem. Dochodzimy do wsi, tam mało uczęszczane przejście
graniczne. Był tam kiedyś koleś z szopą i reklamą COCA COLI na stodole,
sprzedający piwko i wino tanio. Wywalili ponoć go, bo narobił długów. Miał na pieńku z
celnikami, którzy to raz pewnego nie wpuścili nas i jego, sprawdzając przy tem
numery silnika jego rozklekotanej NYSY. Zbrechtali ich jak nie wiem, chciał nawet
zostawić im grata, którego zakupił za pięć baniek. Dwóch z nas idzie na przejście,
pogubili się po drodze, przeszli granicę i od razu wrócili. Celnicy patrzyli jak na debili,
100 metrów za szlaban i z powrotem. By piwko zakupić z cztery kilometry trza by
wędrować. Nie chce się jakoś. Dochodzimy do wiaty, górale sprzedają sery.
Zasiadamy na ławkach przy stole i zażeramy sie serami z rechą chleba, gdyż nie

zakupiliśmy nigdzie po drodze. Rozbijamy się przy wiacie, trochę zmęczeni dzisiejszym dniem. Nocka chłocna, pełnia się zbliża, nie możemy zasnąć. Do tego zamek od śpiwora się zepsuł i co się ruszę to odkryty jestem. Idziemy jeszcze do górali wygrzać się. Częstują mlekiem, gadamy o tym i owym. To jak bez kobity jest się długo. ŻWIR długie kiaki ma, biorą go za dziewczuchę z początku. Napaleni zdrowo, dymaka w wiacie jak diabli, wędzą sery i śpią w tym. Nam tży się wyciskają, ledwo widzę. Bab nie mogą brać, mówi BACA, bo zamiast za stadem patrzeć, to za nimi latać będą. Od maja do października tak siedzą, to ich ciśnie. Melinę na wsi znają, to gorzałka trochę pozastępuje, a reszta to robota. Ciężka, bo ciężka, ale jakoś tak dobrze im z tym, bo co roku tutaj na wypas. My raczymy ich kilkoma opowieściami i przyważonymi po drodze dziwami. W okolicach my tu już nie pierwszy raz. To o

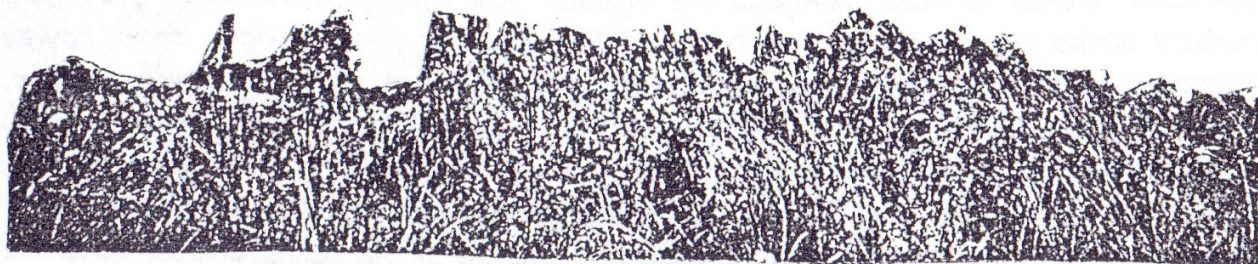


zakopanym dzwonie przed Niemcami, to o ludziach jakowys. Lubią takowe opowiastki. Szkoda, że alkoholu nie mamy, bo byśmy się bardziej pobratali, a jak to bywa z nami wtedy to jakoweś pieśni i tańce bytyby. Gadają coś o Łemkowskim święcie, jak to śpiewy, tańce i krwawa zabawa nożowa się odbyła. Idziemy spać, by znów długo nie móc usnąć. Padam ze zmęczenia jakoś nad świtem.

Ostro leje deszcz.

Nad ranem bierzemy w plecaki zapas sera i po pożegnaniu się ruszamy w drogę powrotną w swe zatęchłe, zadymione miastko. Przed nami ponad dwanaście godzin podróży. Jakieś przesiadki, pociąg opóźniony o godzinę z powodu awarii lokomotywy. Na styk szczęśliwie zdążamy. Zajmujemy nawet jakieś miejsca siedzące. Na

korytarzu ścisk i dym papierosowy. Co chwila przysypiamy i budzimy się. Na każdej stacji rezerwa wylewa się ze swymi podpitymi i ciągle tymi samymi przyśpiwkami. Capi od nas na odległość, ciała opalone, rzeczy wilgotne, pić się chce, we łbie mam mętlik i nic się nie chce. Cyganie koczują przed WARSEM. Niskie, cycate, matolate dziewczyny z bachorami. Kupujemy czeskie piwo od ruchomego sprzedawcy, drogo, ale i tak taniej niżli w restaurancie. Ja bym chętnie się jeszcze powłóczył, ale załoga chciała wracać z różnych to przyczyn. No cóże i tak było przednio. Wrażen co niemiara, we łbie gonitwy, harmonia jakowaś wrosnięta w siebie. Moc i czar wędrowania, absolut każdego kroku. Bycie wspólnie w sobie, kamienia drogi, każdego przejawu życia najmniejszej trawy i zwierzęcia. Bractwo tego wszystkiego oraz wspólnego istnienia w tem, nas wędrujących utopia zrealizowana. Sru.



Konicie
Powraca do mnie
Jak bumerang

Już nie raz
Dotykałem jego
Wysuszonych warg

Powraca jak
Fale przypływu
Zalewając mi usta
Lodowatą
Suchą wodą

Odwiedzał mnie
Gdy byłem mały
Spywał na kółko
Jak śnią
Moił noży

Wtedy
Nie był taki
Przerazający
Wydawał się być
Podobny mi do
Początku

Teraz
W sumie
Też nie jest najgorszy
Ale mam
Wiecej do
Stracenia

ŻYWIOŁY

Mam wicher we włosach
-kiedy rano wstaje
Mam płomienie w sercu
-gdy się coś udaje
Mam grunt pod nogami
-choć stoję krzywo
A ocean w pęcherzu, kiedy piję piwo

Z mrocznej bieli światła białni
za kudły wytarżany za kółko
na bruk deszczony i za drzwi
Leczę i się śmieję
mokry i wesoly
Leczę i się śmieję
znowu najedzony

Nie
Wiem

Zdarza się, że smutek podają na deser
Kiedyś chyba rzadziej, dzisiaj jakby częściej
Niepewność: czy warto jeszcze chcieć, czy jest jeszcze sens
W te dni winione palne witych wspomnień
Dzisiaj tak trudno jest uwierzyć, tak trudno je przypomnieć

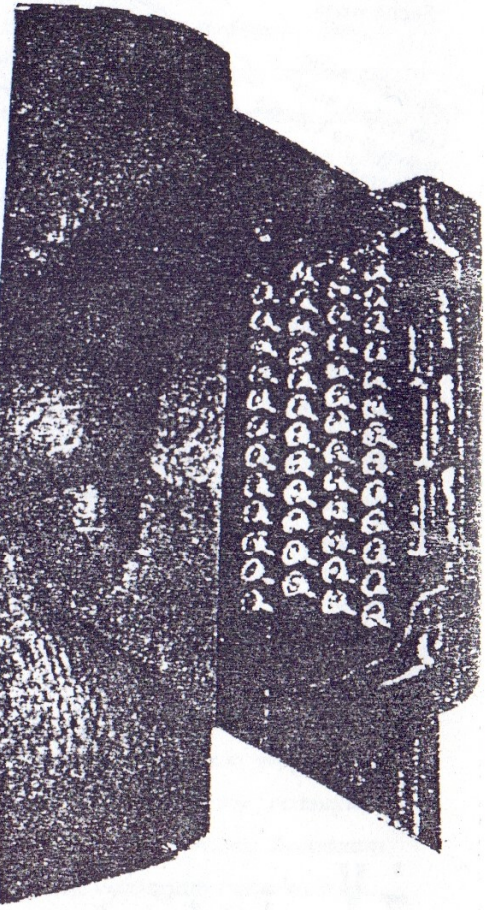
Czy dobro bez zła choć na chwilę nie może zostać?
Czy chwil echo gdy dotrze nie może już pozostać?
Gdy strach roznica a daleko celem jedno nie jesse
Gdy wszystko przeciw Tobie, głosu wody, postuchaj ciszey
Gdy wszystko przeciw Tobie, głosu wody, postuchaj ciszey
Ona powie Ci czego nie wiesz, doda chęci i poknie we właściwą stronę

CO TO? CZYŻBY BUNT REWOLTA REWOLUCJA NIEMY PROTEST PRZECIW TEMU CO DOTĄD PISALEM? CZYŻBY TO WSZYSTKO DOTĄD BYŁO ZBYT MAŁE NIJAKIE? MOŻE DOTĄD WYCHODZIŁY NI TYLKO MIAŁKIE GLUTY BEZ WARTOŚCI BEZ SENSU DO DUPY INTELEKTUALNA SRAKA OTO NAGLE BEZ UPRZEDZENIA BEZ DANIA MI JAKIEJKOLWIEK SZANSY MOJA MASZYNA DO PISANIA SZESNASTOKILOGRAMOWA NIEMIECKA OLYMPIA PRZESTAŁA PISAĆ MAŁYMI LITERAMI CYFRAMI ZNAKAMI PRZESTANKOWYMI BLOKADA PROTEST MOŻE SUGESTIA ŻE POWINIENEM ZREWOLUCJONIZOWAĆ STYL TREŚCI NADAĆ GŁĘBIĘ A SŁOWA FOWINNY BYĆ WIELKIE I WAŻNE I WSZYSTKIE Z DUŻEJ LITERY I WALIĆ OBUCHEM UDERZAĆ RÓWNYM SZEREGIEM MOC. NO DOBITNIE Z DUŻEJ LITERY

Z TYCH MAŁYCH TYLKO 666 ZOSTAŁO NIC WIĘCEJ PO CO? DZIŚ PRZECIEŻ JAK ZRESZTĄ ZAWSZE Z WYJĄTKIEM MOŻE TYCH KILKUNASTU KILKUDZIESIĘCIU LAT PO WOJNIE PO WALCE Z ANALFABETYZMEM A PRZED POJAWIENIEM SIĘ TELEWIZJISŁOWO PISANE MIAŁO TAK NIEWIELKĄ SIŁĘ RAŻENIA PRZENIKANIA DO LUDZKICH MÓZGÓW I ATAKOWAŁO TYLKO WYBRANE NICH SZCZEGÓLNICZNIE WRAŻLIWYCH SPECYFICZNYCH WZROKOWCÓW BIEDAKÓW NIEBORAKÓW DZIŚ NIC SIĘ NIE ZMIENIŁO BO ŁATWIEJ OBEJRZEĆ W TELEWIZJI KINIE KOMIXIE NIŻ CZYTAĆ A JEŚLI JUŻ TO WBITE W PAMIĘĆ PRZEZ REKLAMĘ LOGO NA PUSZCIE OPAKOWANIU KOSZULCE FLAKACIE ZAPALNICZCE SAMOCHODZIE WIĘC CZYM JA SIĘ NIBY PRZEJMUJĘ?

ALE CHOLERA KURWA DUPA GÓWNO JAKOŚ TAK BRAK MI MAŁYCH LITER NIEWAŻNYCH SŁÓW BEZ TREŚCI BEZ SENSU DROBIAZDZKÓW SZCZEGÓLIKÓW FINGIELKÓW BO TAK RADYKALNIE ZMNIEJSZONA SKALA MOŻE LIWOŚCI WYRAŻANIA SIĘ JEST FE JEST BE JEST KAKA DUSI OGRANICZA PRZERAŻA ZNIEWAŁA WIĘC PISZĘ TO CO PISZĘ BO MOŻE POSŁUGUJĄC SIĘ DUŻYMI LITERAMI ODCZARUJĘ OLYMPIĘ MOŻE PISZĄC NA NIEJ WŁAŚNIE TEN TEXT CO WYGLĄDA NA MAGIĘ SZATAŃSKIE WERSETY PAPIESKIE WIER SZE SKONDENSOWANĄ NIJAKOŚĆ UDA MI SIĘ JĄ PRZEKONAĆ O TYM JAK BARDZO BRAKUJE MI MAŁYCH LITER A NAŚLADUJĄC JĄ W KONSEKWENCJI I ZDECYDOWANIU UZYSKAM NAD NIĄ MAGICZNA WŁADZĘ BO ZAWSZE JEST JESZCZE OSTATECZNOŚĆ KTÓREJ NIE CHCĘ NIE MOGĘ ZAAKCEPTOWAĆ BY KTOŚ WKŁADAŁ PALUCHY ROZKRĘCAŁ ROZBIERAŁ GRZEBAŁ W JEJ TRZEWIACH ŚRUBOKRĘTAMI KOMBINERKAMI INNYMI NARZĘDZIAMI ZMUSZAJĄC JĄ DO PODDANIA SIĘ DO POSŁUSZEŃSTWA KTOŚ OBCY NIE JA A JA VOLAŁ BYM SIĘ Z NIĄ SAM DOGADAĆ POROZUMIEĆ PO CO MIESZAĆ DO TEGO JESZCZE KOGOŚ? WIĘC UWAGA MOŻE SIĘ UDA TERAZ

MAŁE LITERY MAŁE MAŁE MAŁE MAŁE MAŁE FFFFFFFFFF



I T E A



trwanie w

Granatowe powietrze nocy
tak naprawdę nie da się
opisać nazwami barw

bo gdy sreżni się księżyc,
cieniutki promień białego sztyletu,
rozcinając potężny matowy błękit
powoli nada całej sprawie, zimna
zieleń wzburzonego falańi oceanu
w słoneczny mroźny dzień
rzuć jednak kamień po skutej
lodem tafli europejskiego brudnego
i głębokiego jeziora
a wtedy echo bryły jaką jest kamień
drżący na lodzie i rzucony twoja ręką
opowie ci ile niesamowitych rzeczy
ofiarowała mi noc tak pełna
i lekka za razem

CiszY!

Uratuj mnie...
Od śmierci klinicznej
Powrotu pustynnych cieni
Martwych oczu kukutki
Wbitych w okno
Brak małej białej
Na drewnianym blacie
Przywołuje wycie psa
Gasi światła
Ufam Ci i wierzę, że...
A jednak
Opadają wazkom skrzydła
I kłwały w pokój
Znów wędrują w zwaśpieniu
Uratuj mnie proszę
Nawet czystą kartką papieru

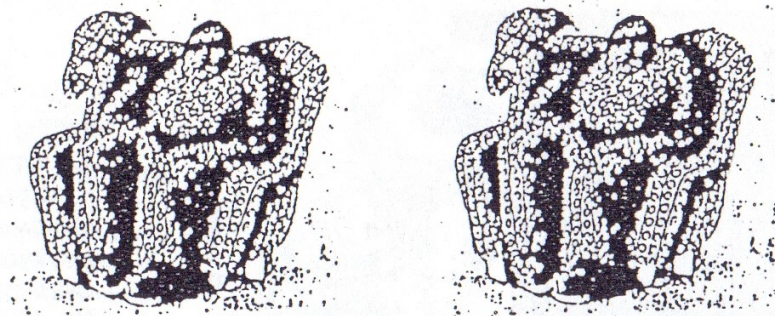
Porzucenie

Juz nie potrafię mówić
Do Ciebie
Zapomniałam
Jak dziwne wydają się słowa
Nie pamiętam
Przerazona w drewno
Śnieg odchodzi i wraca
i nic
Nie obchodzi mnie
Nie wzrusza

Świerk

Na zamku powiesili
drzewo
Widziałam
Wyciągało gruby pień
ku ziemi
Słabło
Krzychało każdą
obolałą igłą
Umarto
Na stalowej linie
dźwigu
Kołysze się spokojnie
Na wietrze
Potem przystroja je
w lampki
I powieszają napis
WESÓLYCH ŚWIĄT





I stała teraz przede mną, coś do mnie mówiąc. Marta. Moja dziewczyna. Nienawidziłem jej. Jest brzydka i głupia. Strasznie chuda, żółte zęby, przetłuszczone włosy zaplecione w gruby warkocz, wiecznie zakatarzony nos, brudne paznokcie i nerwowy oczopląs. Piskliwy głos, zawsze pełen podejrzeń i nieuzasadnionych pretensji. Jestem, wyobraźcie sobie, właśnie ja, jej facetem. Jej pierwszym facetem. Dotąd była samotna. Nie miała nawet koleżanki. Ludzie z którymi przebywała odsuwali się od niej. Myła się raczej sporadycznie. Nienawidziłem jej. Nie za to, że nie miała oczu jak brylanty, włosów jak wiatr, ust jak miód, ciała jak sarna. Jest brzydka i głupia. Nie umiem nawet sensownie z nią porozmawiać. Moja chuda i głupia miłość. Jakbym mógł to bym uciekł od niej dawno, ale układ to układ. Ciągle czekam, aż ktoś się nią zainteresuje. Wtedy będę wolny.

Miałem do rozwiązania poważny problem. Zbliżał się coroczny sylwestrowy bal przebierańców, a ja ciągle nie miałem żadnego efektownego przebrania. Zawsze przebierałem się tak dobrze, że dopiero po głosie, artykulacji słownej rozpoznawali mnie znajomi. Raz nawet byłem zwycięzcą w konkursie na najlepszy strój. Tak jak na innych balach wybiera się królową i króla balu, niby najsympatyczniejszą dziewczynę i faceta, tak na balach przebierańców wybiera się najlepszy strój. I właśnie kiedyś uznano, że to właśnie moja kreacja jest najlepsza. Lecz tego roku dostałem chyba jakiegoś zaćmienia umysłu. Nie przychodzi mi do głowy żaden ciekawy pomysł, zupełnie dno. Czas upływał. W końcu przyszła wigilia zabawy. Następnie rano i popołudnie samego sylwestra. Chciałem już podrzeć zaproszenie. Ale co tam, może przebiorę się tak, jak ktoś w zeszłym roku. W końcu nie zawsze trzeba przebierać się oryginalnie. Najprościej chyba będzie tak jak ... może za więźnia. Mam gdzieś w szafie białe ubranie robocze. Pomalowałem niebieską plakatówką w paski, w więzienny pasiak, czarną napisy na plecach „zakład karny” i z przodu na kieszeni nazwisko oraz oddział. Tekturowa obojma na nogę. Do niej dopięta lekkim łańcuchem kula z styropianu. Kula pomalowana na czarno z widocznym napisem, żeby nie było wątpliwości 30 kilogramów. Do tego stare drewniaki. Przejrzałem się w lustrze. Nie jest to arcydzieło, ale teraz można się już jakoś pokazać.

Zadzwoiłem do furtki. W oknie willi, w której nasza paczka, dość spora, urządziła sobie w tym roku bal, uchylił się firanka. Za chwilę zwinął się zamek elektromagnetyczny u wejścia. Wszedłem. Otworzono mi drzwi. Bal już się rozpoczął. Około pięćdziesięciu osób. I wcale nie wydawało się dużo. Jeszcze nawet paru późnolalkich się spodziewano. Rodzice gospodarza wyjechali przedwczoraj na wczasy, gdzieś do Grecji i ma ich nie być trzy tygodnie. Zresztą często wyjeżdżali, i tak samo często, dokładnie tak samo często odbywały się pod ich nieobecność imprezy. Siadłem przy zimnej płycie, otworzyłem sobie piwo i zacząłem się rozglądać. Paru znajomych poznałem mimo przebrań; dwie czy trzy szatawne dziewczyny, których nie znałem; trochę fajnych przebrań, oczywiście raczej wypożyczonych. Jedna osoba w ogóle się nie przebrała. W sumie nieładnie z jej strony. Jak się bawić to się bawić, do cholery.

Zabawa się rozkręciła. Panienki, księżniczki, czarownice i hawajki stały się teraz centrum mojego zainteresowania; bigosik, wódeczka, kanapeczki żywiłem. Bezceremonialne łańce (śmiesznie trochę łańczyło się z tą kulą u nogi), szepty do uszu pięknych dziewczyn. Fajnie jak zawsze, w tym gronie. Wszedłem chwilę odsapnąć na taras. Mróz, teraz już noworoczny, bo było już po szampanie i życzeniach, po północy podziałał orzeźwiająco. Oddech zamieniał się w parę. Gwiazdy na niebie. Jeszcze moment, a dokonam niechybnie bilansu właśnie zakończonego poprzedniego roku, albo zacznę wymyślać co mogę osiągnąć w dopiero rozpoczętym bieżącym. Na taras wpadło dwóch znajomych. Oboje byli identycznie przebrani. W mundury angielskich „bobies”. Angielskich policjantów. Charakterystyczne hełmy, charakterystyczne pałki, mundury. Postanowili się, pijani, zabawić moim kosztem. Nieźle zabawić. Chwycili mnie z dwóch stron pod pachy. I jak więźnia, bo za łakowego byłem przebrany zaczęli mnie wypytwać i ciągnąć w niewiadomym kierunku. Jeden mówił, a drugi cały czas się z tego co tamten, udawając powagę, mówił, śmiał. Nie szarpałem się specjalnie, ot, tylko łak, by sprawić im przyjemność. Byli nieźle zaprawieni, o wiele bardziej niż moja osoba. Pewnie zaraz się zmęczą i dadzą sobie spokój. Zaprowadzili mnie do piwnicy. Jeden z nich wyjął kajdanki i przykuł mnie do kaloryfera, tak że obo nadgarstki miałem skute, a rurka doprowadzająca ciepłą wodę do grzejnika miałem pomiędzy rękoma. Śmiali się do rozpuku. Przeszło mnie to bawić. Stanowczo domagałem się uwolnienia. Ale oni tylko się śmiali, i im więcej się denerwowałem tym lepszą mieli zabawę. W pewnym momencie cały czas się śmiejąc wyszli twierdząc, że jak się napiją to przyjdą mnie rozkuć, ale najpierw pokazać wszystkim znajomym, by i oni mogli się zabawić. Moim kosztem. Szczęk zamka

i chrobot wyciąganego klucza. Chwila przeciągała się. Wyglądali tak, byli już tak pijani, że następny kieliszek mógł być ich ostatnim tego dnia. Z góry dochodziły tylko stłumione dźwięki muzyki. Po jakimś czasie i ona, muzyka zamilkła. Straciłem rachubę czasu. Piwnica bez okien, ja przykuty do kaloryfera. Zasnąłem. Obudziła mnie znowu muzyka. Zawsze w drugi dzień wszystkich zebranych na zabawie obowiązywał klin. Czyżbym spędził tu już tyle czasu. Impreza u góry zaczęła się na nowo. Nikt dalej nie przychodził. Wymyślałem fabuły zemsty tak słodkie jak słodka może tylko być bożonarodzeniowa kolacja z całą rodziną przy stole, i tak bolesne jak bolesne może być średniowieczne łamanie kołem. Moje krzyki, wołania pomocy nie dość, że odbijały się tylko od sufitu i wracały do mnie echem, to jeszcze doprowadziły mnie do niezłej chrypki. Od grzejnika przypalał mi się już bok. Widziałem już siebie jako Kmicica w „Potopie” Sienkiewicza z wypalonym przez pułkownika Kuklińskiego ciałem. Ani słowa skargi, najmniejszego choćby grymasu bólu - nie było przed kim, i nie było już sił. Czułem się zrezygnowany. Wszelkie próby wyciągnięcia rąk z oczek kajdanków zakończyły się tylko otarciem do krwi przegubów. Ze spuszczoną głową próbowałem przypomnieć sobie po pierwsze jakąś modlitwę z dzieciństwa, po drugie wszystkie grzechy jakie popełniłem w swoim małym życiu. Po raz drugi ucichła muzyka. Nastąpiła głucha cisza. I trwała chyba wieki. Ktoś włożył i przekręcił klucz w zamku. Tak bardzo chciałem usłyszeć ten dźwięk, że nie wiedziałem, czy po prostu sobie to wyobrażam, czy też dzieje się to jak najzupełniej naprawdę. Otworzyły się drzwi.

I weszła Marta. Sprzątała w tym domu od zawsze. Wynajmowali ją właściciele domu. Teraz pewnie przyszła posprzątać po sylwestrze. Jaka wtedy wydawała mi się piękna. Po dwóch dniach przytulania się do kaloryfera. Mój ratunek. Już za chwilę mnie rozkuje, albo przyniesie piłkę do metalu i przetnie łańcuch pomiędzy obręczkami. Za chwilę będę wolny. Lecz ona stanęła przede mną i przyglądała się. Sprawdziła dotykając moje mięśnie. Niczym koniowi zaglądnęła w zęby. Zaczęła mówić. Zaproponowała mi układ. Mogłem oczywiście nie przyjąć. I nie było by żadnej sprawy, ona by odeszła skąd przyszła. A ja bym mógł dalej sobie siedzieć i czekać.... Nienawidzę jej. Nienawidzę swojej dziewczyny. Ale układ to układ...





h a i k u
 r z e b u
 ale nie wiedzieć czemu
 do chłodnej sieni
 oczy brązowe przyłgneży

J A T O
 zmęczona kobieta
 przed swą chatą siedzi
 na drewnianej
 ławce
 bawia się kociaki

J a k t o z
 n e k t o r e m
 b y w a t o
 s k o d z i ó d k i m i o d e k
 n i e s f o r n e p s z c z ó ł k i

S I W E w i e r n e p i o r u n y
 t r z a s z y s t a r y m d r z e w e m
 c z a r n e n i e b o p r z y n e ż o o s p a l e
 j a k i s c z ł o w i e k g r z e b i a c y b l a s k
 p i e r w s z y z a u w a r z y ł b l a s k
 p i o r u n y
 h a i k u
 w i e t n a m

n a s z p r y c o w a n y i c h j a d e m m ó j p a ł e c p u c h n i e
 o j !!! c ó z z a b ó l t o t a k i e z ł e o w a d y
 a o n j e z u l a r e k a g o ż a w y j m u j e
 g ł a s k a o s s z e p c a c p o d n o s e m
 d o k ł a d n i e w s z y s t k o w i d z e
 p r z e z s z p a r ę w s z o p i e
 p o b e g n ę d o d o m u b a b c i a d a c h l e b a z



roler

AAAA

MIRVAMA

MIA MISIACZKU

25 mm

90°

50 mm

BYŁO NEROWOŚĆ ANNER Z SER...
ZWYKLI NI...
P...
P...

Z TE SCENE PRZEPRASZAM NAJMLODSZYCH

WIDZOW APARAT

W NOMEle : ram



Plwanie

okorę E ge bajie
o tym bajania

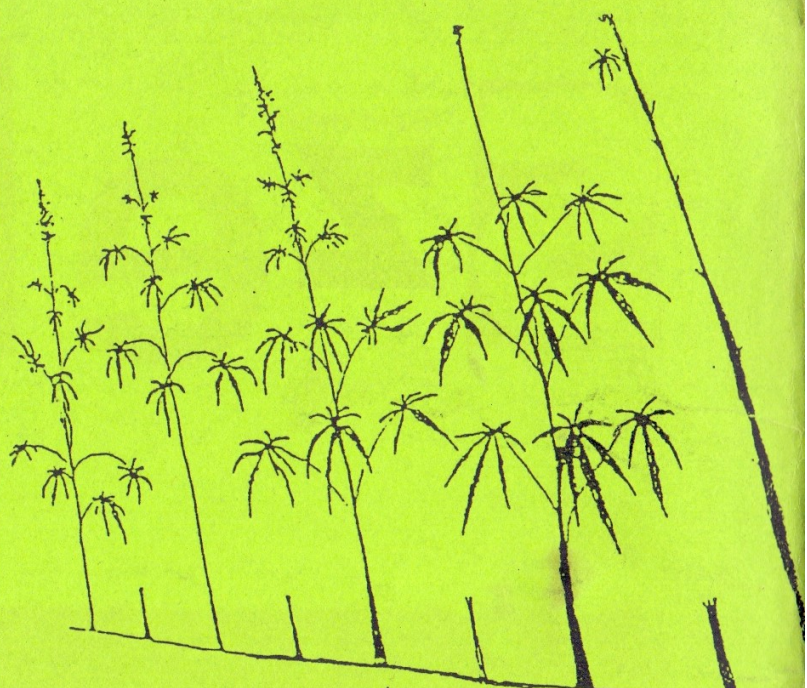


OWYM
+ foj

Nie do
SKONA
Łoś
ZMOY



WAZAD
potęszony
zyje



Skład :

Bygoda **Z**ecerska

OS. Czecha 17/8 61-287
Poznań/N/j Swój raj